

ziemia

• ROK III • NR 1(15) • STYCZEN 1958 • 5 Zł •



Centrum Kultury



TEKST I ZDJĘCIA JANUSZ BOGDANOWSKI

Kłęb kurzu sunie od luborzyckiego kościoła. Wypełnia lessowy wąż. Zbliża się. Błyska lśniąącym metalem. Rozbrzmiewa skoczny marsz. Z pyłu wyłania się tłum postaci. Granatowe kaftany, barwne wyłogi, czerwone rogate czapki. Na przedzie wysoka postać, twarz wąsata, biała sukmana, wysokie buty. Nad wszystkimi mienia się tęczowo

wysokie kity pawich piór. To nie Kościuszko pod Raclawicami ani żadna z historycznych scen, nawet nie wielkie święto. Niemniej jest na co patrzeć! Tak wspaniałych i tyłu naraz prawdziwych strojów krakowskich nigdzie się już nie zobaczy. Bo też Luborzyca jest bodaj jedyną gminą podkrakowską, przechowującą tak żywo do dziś dawne tradycje. Po barwnych, sławionych opisami i malarstwem Bronowicach, po pięknym budownictwie Modlnicy, po tyłu ośrodkach krakowskiego regionu pozostało tylko wspomnienie. Miejsce dawnego piękna zajmuje najgorsza miejska tandeta, dawne stroje poszły na dno szaf. Krakowiacy wyrzekają się własnej starej kultury. Jeszcze tu i ówdzie, na większe święto niektóre co śmielsze kobiety i wiejskie dziewczęta przybierają dawne stroje. Ale mężczyznom to się nie podoba. Wołają oni od święta byle miejski łach, z którego niestety są nawet dumni.

Inaczej w luborzyckiej gminie. Niewielu jest tu takich, którzy wstydziliby się swego krakowskiego stroju. Toteż na każde większe święto odżywa we wsi w całej krasie ten chyba najpiękniejszy z polskich

strojów ludowych. Stąd także, z Luborzycy i okolicznych wiosek przybывают na krakowskie uroczystości barwne krakowianki, chłopcy w sukmanach i pyszne konne banderie krakusów. Tradycje ubiorów związanych nierozdzielnie z kościuszkowskimi kosynierami tkwią tu mocno.

A zachowują to, utrzymują i organizują chłopcy sami, z własnej inicjatywy. Urządzili więc po wojnie dla uczczenia pamięci Kościuszki „panoramę raclawicką”. Brało w niej udział kilkuset chłopów w ludowych strojach. Były zrobione przez nich armaty, były wojska polskie i carskie, konnica, słowem odtworzono cały przebieg bitwy. Podjęli wtedy realizowane do dziś zobowiązanie budowy drogi „szlakiem kosynierów” z Luborzycy do Raclawic, by tym uczcić pamięć „Naczelnika” i sławnego marszu kościuszkowskiego.

Można by o tutejszej inicjatywie jeszcze wiele mówić, ale wróćmy do opisanej na wstępie uroczystości. Otóż wszystko zaczęło się 70 lat temu. W czerwcu 1887 roku Józef i Antoni Kułagowie, Wawrzyniec Karcela i inni gospodarze z Woli Luborzyckiej założyli dętą orkiestrę, nazwaną później popularnie „luborzycką”,

a opiekę nad nią objął ks. Józef Patkowski, proboszcz.

Początkowo orkiestra słabo się rozwijała. Warunki były trudne, na występy pilnie baczyl carski zaborca i utrudniał działanie. Niemniej każdego roku przez lat 35, zespół ruszał w swych krakowskich strojach na pielgrzymkę do Częstochowy grając polskie pieśni po drodze i na miejscu. Raz omal nie skończyło się to zesłaniem. Z kapelmistrzami też było różnie. Jedni nie bardzo dawali sobie radę, inni próbowali zespół ściągnąć z właściwej drogi, a jeden z nich, Wysocki, chciał nawet zamienić orkiestrę na symfoniczną. Dopiero kapelmistrz Wroński poprowadził do zdecydowania w ludowym kierunku, a że ochoty i zdolności muzykantom nie brakło, osiągnął nie byle jakie rezultaty.

Wojna w 1914 niszczy okolicę, zabiera ludzi i przerywa działalność zespołu. Ale już w 1916 na nowo zbiera

kapelę Franciszek Kozłowski z Luborzycy i kapelmistrz Błażej Bernacki z Wilkowa. Wielu z tego zespołu gra jeszcze do dziś. A więc trzech Janów: Natkaniec, Żywot i Łyko, dwóch Wawrzyńców: Bartoszek i Marzec, dwóch Andrzejów: Dej i Paletka, a także Piotr Bubak, Józef Kozik i inni z Luborzycy, Maciejowic, Woli, Wysiółka, Barana. Orkiestra znowu zaślęła w okolicy. Nie było teraz uroczystości powiatowej a często i wojewódzkiej, w której nie bralaby udziału.

Druga wojna ponownie przerywa działalność. Wielu ludzi z gminy ginie, wielu idzie do partyzantki. Ale i tym razem żywa pozostaje myśl o orkiestrze. I znowu ten sam Franciszek Kozłowski, który organizował orkiestrę w 1916, zbiera ją w 1945. Grają w niej teraz i ci starzy z tamtej wojny i młodzi. Ze zaś nie grają gorzej, a lepiej, o tym świadczy ich udział we wszystkich uroczystościach

Niniejszy numer ukazał się z opóźnieniem z powodu remontu maszyn w drukarni. Dyrekcji i Pracownikom Drukarni Narodowej dziękujemy za wyrozumiałość i wyrozumiałość umożliwienie wydrukowania „Ziemi” jeszcze przed ukończeniem remontu.

JANUSZ BOGDANOWSKI,
TADEUSZ ŻYCHIEWICZ,
KAZIMIERZ KOWALSKI,
DAWNE POCZTY
LESZEK DZIEGIEL,
WALERY GOETEL,
DAWNE DRUKI
JANUSZ BOGDANOWSKI,
TADEUSZ CHRZANOWSKI,
ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI, Jelenie
MARIAN KORNECKI,
A. i M. KURZĄTKOWSCY,
ORLI LOT
KAZIMIERZ BIELENIN,
KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ.
MARIA PRZEŹDZIECKA,
ZBIGNIEW WÓJCIK,

| | |
|--|----|
| Luborzyca | 2 |
| Miasto nad Brdą | 4 |
| Jaskinia Kasprowa Niżna | 6 |
| | 8 |
| | 9 |
| Garncarze | 11 |
| Z ruchu ochrony przyrody | 12 |
| | 14 |
| Stodoła w Górach Świętokrzyskich | 15 |
| Kraina plastyki gotyckiej | 18 |
| | 20 |
| Brzesko wieś wyjątkowa | 22 |
| Gdzie Apollo... | 24 |
| | 26 |
| Gliniane dowody tkactwa | 27 |
| | 30 |
| Wędrowny rzeźbiarz ludowy | 31 |
| Wielka Świstówka | 31 |

NASZA OKŁADKA

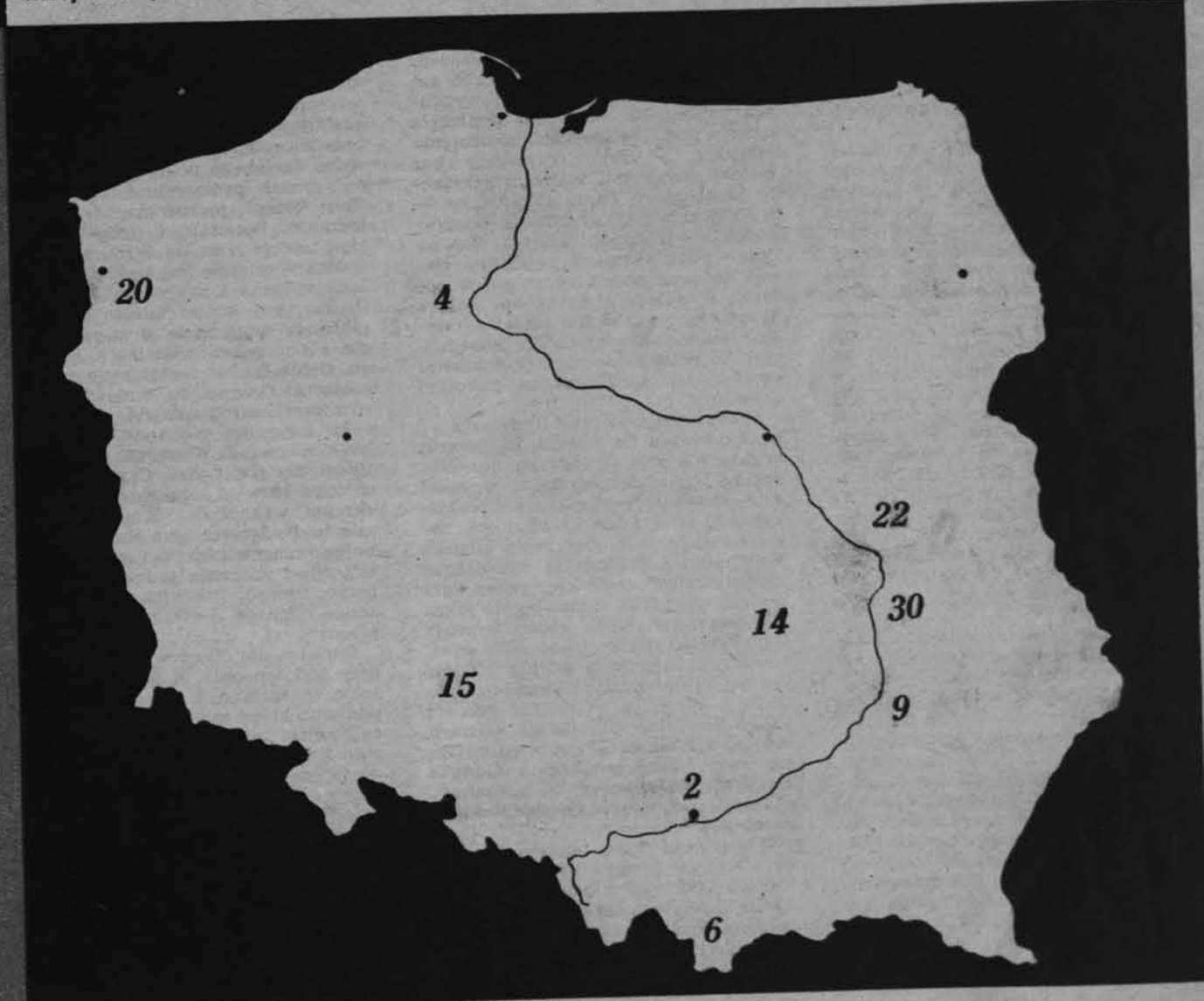
Liczby na mapie oznaczają numery stron na których piszemy o danym regionie.

Fotografia Wojciecha Plewińskiego przedstawia fragment ściany jednego ze starych mazurskich młynów wodnych. O ostatnich młotach hutniczych u podnóża Tatry, poruszanych energią wodną piszemy na str. 19.



Ziemia

— Miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. naczelny — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekretarz — MACIEJ KUZYŃSKI, red. działów — MARIAN KORNECKI (LESZEK DZIEGIEL, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŁSKI, skład graficzny — MACIEJA KUZYŃSKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 505-78. Nabytek 13.500 Zm. nr 71757 5-31. Drukarnia Narodowa w Krakowie



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAZDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować na-

sze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPZEDNIE NUMERY ZIEMI

Numery z roku 1957 — można nabywać we „Wzorcowni” Państw. Wyd. Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12. Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Arty Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii — £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — LA 0,27, rocznie 1. 10.7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%. Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miejstkich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczati” NRD — Zeitungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. 1, Aul. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Calow. Armady, 3) PZKO C. Tesin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd, Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatsair) Ltd, Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Halilepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-eme, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Litteraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyme, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.

MIASTO NAD BRDĄ



...„Tymże też uściem uyrzysz —
ano góry
haniebne z garców wiozą wodne
fury,
które prowadzą z Bydgości zduno-
wie jak olbrzymowie“...

Miasto bowiem leżało ongiś u ujścia Brdy do Wisły. Dziś Wisła płynie zmienionym korytem. Z tamtych czasów pozostał tylko ów wiersz Klonowicza opisujący we Flisie handel dawnych bydgoskich garncarzy, zbywających swe wyroby w Gdańsku, skąd szły ponoć czasem aż do Szwecji. Musiały owe „haniebne góry bydgoskich garców“ specjalnie jakoś utkwąć w pamięci rymopisa, skoro znalazł dla nich miejsce w swym wierszu. A był to czas, gdy wodnymi drogami szły ku morzu nie tylko bydgoskie garnki, ale i puszczęńska smoła, potaż i wosk, karpacie sosny na maszty dla holenderskich okrętów i polski cis na angielskie łuki. A głównie zboże w tak ogromnych ilościach, że nie tylko w Gdańsku ale i we wszystkich miastach dolnej i środkowej Wisły musiały powstać spichrze przejmujące ładunki.

Nie od razu jednak mieszczki cieszyły się flandryjskim sukniem i nie od razu członkowie kupieckich gildii spijali gdańską wódkę, w której pływały płatki złota. Nie od razu też zasłużyła Bydgoszcz na pamięć wierszopisów.

Gród o pierwotnej nazwie — „Bithgosthia“ vel „Bidgosthia“ napotykamy m. in. w dokumencie podziału ziem, dokonanego przez Leszka Białego. W 1310 r. wielki mistrz krzyżacki Siegfried von Feuchtwangen rusza ze Świecia na Bydgoszcz. Najazd odparto, ale w 1330 Lutterburg pali Inowrocław i Wyszogród, pustoszy Kujawy i zajmuje Bydgoszcz, która dopiero w 1343 wraca na dłużej do Polski na mocy postanowień traktatu kaliskiego.

Miasto (przynajmniej w pojęciu organizacji prawa magdeburskiego) — jeszcze nie istniało podówczas, bo dopiero w 1346 Kazimierz Wielki nadał dwu osadźcom poleć gruntów pod zamkiem „Bidgoszcza nad Drbą“.

Nowa miejscowość rozwijała się intensywnie. Sławny stawał się bydgoski port przeładunkowy, bydgoskie warsztaty szkutnicze i zatargi z Hanzą, krzywo patrzącą na statki, stanowiące własność miasta nie należące do potężnego Związku. Niechętny był Gdańsk; aż tu docierało piwo bydgoskie „skąd więcej mieszczanie szkody, niż pożytku mają, bo za wiele (sc. obywatele bydgoscy) posyłają“... Krzywił się także i Toruń

na konkurencję, mnożyły się na tle rywalizacji niesnaski i spory, a gdy w 1409 żeglarze bydgoscy zrabowali toruńczykom statki załadowane solą — miarka się przebrała: wyprawa toruńskich mieszczan podłożyła ogień pod bydgoskie umocnienia miejskie, z czego oczywiście bez zwłoki skorzystali ówczesni krzyżacy protektorzy Torunia, zajmując — zresztą z przyczyny zdrady burgrabiego — bydgoski zamek. Nie na długo. Szła wyprawa polska na ziemie Zakonu, pod Koronowem w pobliżu Bydgoszczy zniszono wojska krzyżackie, odzyskano zamek i miasto, mistrz Kűchmeister powędrował w pętlach — a po uwolnieniu zawsze już gardłował za pokojem z Polską...

Spaliła się wówczas Bydgoszcz — i odbudowała do r. 1425, na powrót bogata i ludna. W 1523 ma już wodociągi z rur dębowych; te wprowadziły odmówiły posłuszeństwa po kilkunastu latach, ale za to nowe, zainstalowane po r. 1541 przez mistrza Walentego z Bochni już tak dobrze zbudowano, że część ich czynna była jeszcze w r. 1793. Znowu płynie przez Bydgoszcz kujawskie zboże, wracają flandryjskie sukna, francuskie wina, towary z bałtyckich portów. Znowu czynne są warsztaty szkutnicze, browary i młyny, a od r. 1522 także i składnice solne dla całego obszaru Kujaw i Pomorza. Znowu rozwijają się cechy rzemieślnicze, a Gdańsk czuje się zmuszonym do ograniczenia sprzedaży wyrobów bydgoskiego rzemiosła.

I specjalna duma miasta: mennica — teraz dopiero otworzona, ale kto wie, czy nie najlepsza w ówczesnej Polsce. To tutaj powstawały złote „Hungaryki“, srebrne talary i orty. Tutaj za Zygmunta III pracować będzie wybitny mincerz Jacob Jacobsohn, za Władysława IV Krzysztof Guttman, za Jana Kazimierza Andrzej i Tomasz Tűmpe — alias z polska Tymfowie — produkujący półtalary i złotówki z napisem „Moneta Civitatis Bidgostiensis“ zwane od ich nazwiska tynfami. Tu wreszcie powstawały rarytasy obecnych zbiorów numizmatycznych — rzadkie dukaty, bite przez Michała Hodermana Guardeyna w 1671 za panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Śladu dziś nie zostało po owej mennicy. Wróćmy jednak do przeszłości.

Zachował się łaciński manuskrypt mieszczanina bydgoskiego Wojciecha Łochowskiego z r. 1636; nosi on tytuł „Typographia civitatis Bidgostiensis“ i opisuje miasto, które... „leży w głębokich borach... rozciągających

się na obszarze dwóch, trzech i czterech mil, gdzie pełno zwierza wszelakiego rodzaju. Całe (sc. miasto) jest opasane murem, ma wysoką wieżę w rynku w Roku Pańskim 1600 kształtnie postawioną i ratusz ozdobnie murowany. Domy także murowane, dachówką pokryte i wodotrysk na rynku przymyślnie urządzone. Trzy bramy murowane, z których jedna ku Poznaniowi, druga do Kujaw, trzecia zaś do Pomeranii prowadzi. W mieście jest wszystkich kościołów wraz z zakonami dziewięć. Rzeka, przy której miasto założono (...) mała wprawdzie w swym korycie, ale w pożytku wielka (...) ma to do siebie, że w najcieplejszą zimę nie zamarza. Drzewa do budowli z borów kaszubskich spławia, obfituje w ryby rozmaite, osobliwie w łososie, które z morza Wisłą aż pod samą Bydgoszcz podchodzą. Czasem — jak w roku 1604 — jednego dnia 170 do skrzyni wskoczyło... Z portu także miasto Bydgoszcz jest sławne. Z obojga brzegów rzeki ma spichrze kosztowne i widzenia godne — nie dla czego innego, jak dla zachowania zboża i innego rodzaju towarów założone“...

Barwny, ale ubogi w istotne szczegóły jest ten opis. A szkoda, bo relację tę spisano w przeddzień wypadków, które miały zadecydować o całkowitej przemianie sylwety miasta. Dobrze, że w księdze Puffendorfa, poświęconej inwazji szwedzkiej na Polskę — znalazł się świetny sztych przedstawiający Bydgoszcz — jeden z największych w ówczesnej Polsce ośrodków przemysłowo-handlowych, liczący w końcu w. XVI ponoć 24 000 mieszkańców.

Szły wojny. W 1629 najechali miasto po raz pierwszy Szwedzi, łupiąc je i nakładając kontrybucje. A potem przyszedł rok 1655, ponowne zajęcie miasta przez Szwedów. I udane powstanie w 1656; i powtórna okupacja szwedzka. A kiedy w 1657 do spustoszonej Bydgoszczy zjechał Jan Kazimierz by zawrzeć z elektorem brandenburskim porozumienie, mieszczanie cieszyli się upragnionym pokojem. Nie zdawano sobie sprawy, że w dniu podpisania tego traktatu, zwalnającego elektora od lenna z Prus Książęcych przypieczętowano właściwie los północnych ziem polskich — i samej Bydgoszczy; że zawarły się egi Brandenburgii i niezależnych odtąd Prus Elektoralskich. A rok 1700 zastał tu znowu wojska szwedzkie, 1707 — rosyjskie, 1759 — pruskie. Już w 1707 miasto spalili Rosjanie, a w dwa lata później przyszedł mór i trwał do 1710. Już tylko 40 domów jest zamieszkałych, ruiny

porastają zielskiem. I jeszcze jedna, stanisławowska próba podźwignięcia się z ruin — przerwana rozbiorami.

Fryderyk Wielki był trzeźwym politykiem i wiedział, jak nikłe i mało konkretne były w owym czasie szanse restytucji siły państwa polskiego. Mimo to — obawiał się ich. Dążył do definitywnego odcięcia Polski od morza. Aby to osiągnąć — należało zmienić gospodarczy i narodowościowy układ sił, położyć tamę w poprzek naturalnych dróg wiodących ku morzu. Już w 1772 stał w Bydgoszczy garnizon pruskich wojsk. W tymże samym roku namiestnik króla pruskiego Franciszek Baltazar Schoenberg von Brenkenhoff (zobaczycie go na bardzo wielu grupowych portretach Fryderyka: ogromny, bruchaty jegomość w białej peruce,

T A D E U S Z Z Y C H I E W I C Z



trzymający się zawsze osoby królewskiej) — zaczyna kopać Kanał Bydgoski, łączący Wisłę z Notecią, Wartą i Odrą, spinający Prusy z portem szczecińskim — co poza wszystkim innym miało także dopomóc do utrzymania w ryzach Gdańska, niezbyt Prusakom przychylnego. Sześć tysięcy niemieckich, suto opłaconych najemników ryło w ciągu dwu lat podatny, torfowy grunt, przekopując trasę o długości 72 kilometrów. Równocześnie runęła fala osadnictwa.

Ginęła stara Bydgoszcz, rodziła się nowa. Ożywa tranzytowy port bydgoski, powstaje przemysł. W 1800 miasto będzie już liczyło 4500 mieszkańców.

Na przekór wysiłkom i olbrzymim kapitałom władza niemiecka była tu jeszcze bardzo krucha. Podczas Insurekcji 1794 roku garnizon pruski generała Szekuly'ego zaledwie przez półtorej godziny potrafił bronić miasta przed oddziałami Dąbrowskiego, które zresztą po klęsce maciejewickiej musiały opuścić Bydgoszcz, wycofując się na Warszawę. Wrócili w 1806 — tym razem na dłużej. Gdy upadło cesarstwo napoleońskie, a Traktat Wiedeński w r. 1815 ustanowił nowy, „wieczny“ ład, wcielając „miasto regencyjne“ Bydgoszcz w granice Księstwa Poznańskiego pod egidą pruską — ożyła myśl Fryderyka Wielkiego. Kolonizacja osiągnęła skalę dotąd niespotykaną: do połowy w. XIX osiedlono w Bydgoszcy nowe 7,5 tysiąca Niemców — nie zapominając oczywiście także o budowie koszar. Ulice poczęły się wypełniać rzędami kamienic, wybijających sztywny rytm wyciągniętymi „pod sznur“ elewacjami. Miasto zmieniało skórę, nazywane już było „Małym Berlinem“ — „Klein-Berlin“, osaczało zewsząd szczątki dawnej zabudowy, usiłowało zepchnąć polskość do rzemieślniczych i robotniczych nor na przedmieściach. Ale gdy przyszedł rok 1848 — dowództwo pruskie jeszcze nie czuło się pewne, liczyło się poważnie z możliwością powstania, o czym przeczytać można w ówczesnym „Beiheft zum Militär-Wochenblatt“.

Pod względem gospodarczym miasto prosperowało niezgorzej, czerpiąc znaczne dochody z polityki celnej i rozrastającego się przemysłu. W latach 1851/52 powstały pierwsze tułejsze linie kolejowe, w 1860 zbudowano gazownię, w 1896 elektrownię, a niebawem także wodociągi i kanalizację. Równocześnie trwała bez zmian akcja germanizacyjna; język polski został wyrugowany ze szkół i urzędów, niszczone i usuwano materialne dowody polskości miasta i jego historii. Po zburzonym w 1830 roku ratuszu przyszła kolej na najstarszy bydgoski kościół św. Idziego, klasztor karmelitański i ruiny zamku.

W 1918 runęło cesarstwo niemieckie, w styczniu 1920 władzę nad miastem przejęła Polska. W 1920 miasto liczyło 89 000 mieszkańców — w tym 82% Niemców i 18% Polaków. W roku 1930 Bydgoszcz liczy 115 000 mieszkańców — w tym 91% Polaków. Starczyło 10 lat, aby przekreślić niemieckie stulecie.

W 1920 majątek miasta liczonego na 8,4 miliona złotych; w 1930 — na 61,5 miliona. W międzywojennym dwudziestolecu czynny był przemysł drzewny wraz z giełdą handlu drewnem, 10 fabryk metalowych, wytwórnie kauczuku, karbidu i papieru, przetwórnice skórzanego, rafinerie spirytusu, fabryki konserw, młyny przetwarzające 15 wagonów zboża dziennie. Budownictwo ruszyło tempem nieznanym nawet za czasów niemieckich, obszar zabudowy wzrósł do 70 km²; pod względem obszaru Bydgoszcz stała się jednym z naj-

większych miast polskich. I nie tylko to; stała się także poważnym ośrodkiem kulturalnym.

3 września 1939 — już po wycofaniu się polskich władz — mniejszość niemiecka zaatakowała zbrojnie wycofujące się wojsko i pozostającą na miejscu ludność polską. Akcja bojówek napotkała oczywiście na opór i została zlikwidowana — co w interpretacji goebbelsowskiej propagandy nazwane zostało „krwawą niedzielą“ i rozgłoszone szeroko jako „mord popełniony na spokojnych niemieckich obywatelach“. 5 września władze niemieckie zgromadziły na terenie koszar wszystkich mężczyzn. Aresztowano nauczycieli. Na rynku i poza miastem zaczęły się masowe egzekucje inteligencji, duchowieństwa i wszystkich „podejrzanych“. Wróciły czasy sprzed r. 1918: zburzono kościół jezuicki, zniszczono sporą część biblioteki miejskiej, rozgrabiono muzeum. W 1943 notowano tu już tylko 30% ludności polskiej, ale za to już w styczniu 1945, na parę dni przed uwolnieniem miasta cała niemiecka ludność opuściła miasto.

Bydgoszcz dzisiejsza, stolica województwa — jest na pierwszy rzut oka miastem kontrastów. Przeraziłaby, „reprezentacyjna“ brzydota secesyjnych kamienic i neogotyków może się przysnąć, ale także i długo się pamięta piękno „bydgoskiej Weneccji“, zaskakująca urodę spichrzy, drewnianych mostków zawieszonych nad wodą, nadbrzeży, okolic fary. To oczywiście tylko najłatwiejsze i najbardziej powierzchowne wrażenie. Nie jest winą miasta, że tak często należy tu używać czasu przeszłego, gdy mówi się o zabytkach.

A co „jest“? Z dawnych wieków bardzo niewiele. Układ urbanistyczny Starego Miasta. Fara sięgająca początkami r. 1399 — z halowym, trójnawowym, pięknie sklepionym wnętrzem i wyjątkowo bogatym szczytem zachodnim, który niestety tak trudno jest sfotografować. Kościół pobernardyński, przy którym istniało kiedyś kolegium zakonne i obserwatorium astronomiczne w XVII wieku przez brata Witalisa założone; a wspomnieć wypada, że bernardyni bardzo się Bydgoszcy zasłużyli — bo i kronikę miasta spisali skrzętnie i bibliotekę zebrali bogatą (do dziś przetrwało 1200 tomów) i wiele tegich głów ukształcili. Choćby brata Bartłomieja, autora łacińskich uczonych dzieł i słownika łacińsko-polskiego z r. 1532, nad którym dziś debatują badacze starej polszczyzny; albo brata Pawła z Łęczycy, co ogrody piękne expedite zakładać umiał.

I jest jeszcze wspomniany kościół klarysek — niewielki, ale piękny, z gotyckim prezbiterium, budowany w XVI wieku przez Grzegorza Gracza. Jest Biblioteka Miejska na Starym Rynku, zbudowana w 1774 jako sąd, obecny gmach Prez. WRN, domy rynkowe — i wreszcie bydgoski „most westchnień“ w ulicy Zaulek. Nazwa nie bez kozery, chociaż nic wspólnego nie mająca z weneckim rodowodem: owym „mostem westchnień“ jest mianowicie przerzuczone ponad zaułkiem przejście, którym ponoć prowadzono więźniów na rozprawy w sąsiednich budynkach sądowych. I jeszcze, aby nie zapomnieć: prócz wszystkich tych specjalności posiada Bydgoszcz także rzecz drobną, ale ciekawą: stare skrzynki pocztowe. Solidnie z lanego żelaza sporządzone, z symbolicznymi trąbami na bokach. Bydgoszcz przyszłości — to na razie kwestia projektów o dużym rozmachu, ale lepiej o nich na razie nie pisać. Lepiej poczekać, aż projekty poczną się przyoblekać w żywe kształty.



Badania jaskini Kasprowej Niżnej prowadzono już kilkadziesiąt lat temu. Kolejne zwiedzające ją grupy posuwały się coraz dalej w głąb podziemi. Jednakże dopiero ostatnie lata przyniosły prawdziwy postęp eksploracji dzięki zastosowaniu przez badaczy metod taternictwa jaskiniowego.

W poprzednim numerze autor omawia przebieg eksploracji jaskini, aż do momentu kiedy wraz z jednym towarzyszem posunął się dalej w jej głąb, niż ktokolwiek przedtem. W trakcie wycofywania się ku powierzchni pionowym „kominem”, spadł z wysokości kilku metrów na zaślane kamieniami dno...



KAZIMIERZ
KOWALSKI

JASKINIA KASPROWA NIŻNA

Choć bolą mnie potłuczone nogi, zraniony policzek i pokrwawione palce, którymi lecąc podświadomie usiłowałem schwytać się skały, to jednak nie stało mi się przecież nic groźnego. Mimo to położenie nasze nie było do pozazdroszczenia. Jedna lampa dawno zgasła, druga leżała rozbita na dnie studni. Byliśmy w zupełnej ciemności w głębi nieznanego nikomu części jaskini. Okazało się, że zapalki zamokły. Po kilku próbach udało się jednak Grotowi zapalić jedną z nich, a następnie — świeczkę. Po minutach zupełnej ciemności paląca się w górce świeczka wydawała mi się jasna jak latarnia. Znowu zacząłem wspinaczkę, tym razem ostrożniej. Obolałe ręce i nogi utrudniały zapieranie się. Wreszcie jednak znaleźliśmy się razem na górze.

Odwrot

Cały zapas oświetlenia stanowiły dwie krótkie świeczki. Zapalki były tak mokre, że na powtórne zaświecenie nie mogliśmy liczyć. Postanowiliśmy więc iść z dwoma palącymi się świecami,

bo jedna łatwo mogła zgasnąć przy pełzaniu czy wspinaczkę. Sądziłem, że nie starczy nam światła do otworu, ale dojdziemy przynajmniej do znanych części gdzie prędzej czy później znajdą nas przybyli na pomoc koledzy.

Ruszyliśmy naprzód. Mimo ciężkich, oblepionych błotem kombinezonów, mimo głodu i zmęczenia rozwijaliśmy szybkie tempo. Doszedłszy do jeziora, które było kluczem dzisiejszego odkrycia nie rozbieraliśmy się. Nie było na to czasu, a zresztą kombinezony i ubrania i tak były już przemoczzone. Parę razy jednemu z nas gasła świeczka, ale wtedy drugi służył mu światłem. Tak doszliśmy do zapasów żywności pozostawionych w Sali Rycerskiej. Byliśmy bardzo głodni, ale nasze świece dopalały się. Chwyciliśmy tylko w przejściu parę kostek cukru i ruszyliśmy dalej. W Gnieździe Złotej Kaczki skończyła się jedna świeca. Teraz musieliśmy już iść ostrożniej, bo całą naszą nadzieją był jedyny pozostały ogarek. Za Wielkim Kominem pozostała tylko tlejąca resztką stearyny parząca dłoń. Po kilkudziesięciu metrach i ona zgasła. Ale

równocześnie przyzwyczajonym do słabego oświetlenia wzrokiem zauważyliśmy w dali jaśniejszą plamę. Był to otwór. Na zewnątrz powitała nas mroźna, bezksiężycowa noc. Mimo zmęczenia trzeba było szybko ruszać dalej, bo przemoczzone kombinezony marzły i sztywniały jak blacha. Było dobrze po północy, kiedy znaleźliśmy się w schronisku.

Na brzegu studni

Wiadomość o odkryciu w Kasprowej zelektryzowała krakowską grupę grotolazów. Choć tej zimy prowadziliśmy badania w Jaskini Zimnej, największej z jaskiń Polski, to jednak pod koniec lutego 1953 zorganizowaliśmy liczniejszą i lepiej przygotowaną wyprawę do Kasprowej Niżnej. Wskutek długotrwałych mrozów poziom wód w jaskini obniżył się, co bardzo ułatwiało drogę. Tym razem w głąb studni przed Gwiazdźką Komorą zjechaliśmy na linie. Po raz pierwszy mogłem się wówczas przyrzec nowej komorze. Nie jest duża, ale interesująca. Zdobia ją „błotne zamki”, osobliwe utwory uformowane w lawicach gliny przez kapiącą ze stropu wodę.

Poszczególne grupy uczestników wyprawy kolejno zwiedzały idące z komory korytarze. Niestety wszystkie są ciasne, oblepione gliną. Za chwilę każdego z nas pokrywała gruba warstwa tłustego, lepkiego błota. Jeden tylko chodniczek ciągnął się dalej, ale drogę w głąb zagradzała kałuża. Trzeba było zlewarować do bocznej studzienki, a potem przepelznąć przez pozostałą na dnie wodę. Wkrótce dalej napótkaliśmy korytarz zupełnie innego typu: wysoka, soczewkowato rozmyta szczelina skalna. Dnem jego z szumem płynął mały strumyczek czystej wody.

Także i ten korytarz kończył się ślepo, ale w górce, ponad mostem z zakli-

nowanych bloków widniał balkon skalny. Udało się nam wejść na niego i znaleźć idący w bok korytarzyk. Był on bardzo ciasny. Tak ciasny, że przejście kilkunastu metrów wymagało pół godziny ciężkiej pracy. Wreszcie jednak dotarliśmy do rozszerzenia. Obszerny chodnik szedł stąd w głąb skał, aby wkrótce urwać się nad brzegiem głębokiego komina. Nie mieliśmy liny, aby go pokonać, a po wielu godzinach pracy w jaskini w przemoczonych ubraniach brakło nam już sił by wrócić po linę poprzez błotniste i ciasne korytarze.

Ostatnia wyprawa?

W ciągu lat 1954 i 1955 wielokrotnie ruszyliśmy na wycieczki do jaskini. Udało nam się odkryć dwie nowe drogi wiodące do jej wnętrza i przebadać cały szereg bocznych ciągów. Nie brakło oczywiście i przygód. Kiedyś w worku transportowym otwarła się puszcza z karbidem i kiedy później worek ten wpadł do wody — akurat w wąskim, wymagającym pełzania przejściu nastąpił wybuch. Worek zaczął płonąć. Pchając go butami cofaliśmy się do szerszego miejsca, gdzie można było wreszcie zacząć gaszenie.

Zimą 1956 krakowska sekcja taternictwa jaskiniowego zorganizowała jedną jeszcze dużą wyprawę do Kasprowej. Tym razem celem naszym było poznanie ciągle niezwiędzonego do końca korytarza w głębi, tego w którym kiedyś zatrzymała nas pionowa studnia. Ponadto chcieliśmy sporządzić wreszcie dokładny plan jaskini i zebrać szereg obserwacji naukowych. Dobrze przygotowanie wyprawy, ulepszone sprzęt i liczna grupa uczestników ułatwiły nam wykonanie tych zadań. Niestety okazało się, że wkrótce za progiem korytarz kończy się zwężeniem niemożliwym już od przejścia. Tędy więc droga w głąb skał jest zamknięta. Równocześnie jed-





nak inna grupa uczestników wyprawy pracowała w chodnikach na końcu dolnego ramienia jaskini. Tu wyniki były ciekawsze. Zwiedzono cały system korytarzy, znajdując na końcu duży, po strop wypełniony syfon. Sporządzenie dokładnego planu pokazało, że ogólna długość ciągów jaskiniowych w Kasprowej Niżniej wynosi 1910 m, jest ona więc — po Jaskini Zimnej — drugą co do wielkości jaskinią w Tatrach Polskich.

Znów więc Jaskinia Kasprowa Niżnia uchodzi za całkowicie zbadaną. Ale nigdy nie wiadomo, czy któryś z zamulonych czy zalanych chodników nie okaże się przejściem do nowych, może rozleglejszych i piękniejszych niż dotychczas znane, korytarzy i sal.

Poznanie i splanowanie podziemnych przestrzeni stanowi dopiero wstęp (co prawda wstęp konieczny) do badań naukowych w jaskini. Pod tym względem w Kasprowej Niżniej jest jeszcze wiele do zrobienia. Jest to na pewno jedna z najciekawszych jaskiń w Polsce. Wprawdzie opowiadanie o psie, który przebył podziemną drogę z okolicy Hali Gąsienicowej do naszej grotty jest tylko legendą, ale — jak w każdej ponoć legendzie — jest w niej trochę prawdy. Faktem jest, że wody płynące ze Stawów Gąsienicowych znikają pod ziemią w strefie wapieni i dalszy ich los jest nieznany. Być może jednym z odcinków obecnego lub dawnego odwodnienia tej

okolicy jest właśnie Jaskinia Kasprowa Niżnia. Świadczyłyby o tym piaszek granitowy, obficie w jej wnętrzu spotykany. O skomplikowanej przeszłości jaskini mówią nam znajdowane w wielu miejscach nacieki, nieraz wielkich rozmiarów, rozmywane dziś przez wodę. Widocznie po okresie osadzania nacieków nastąpiło — jak mówimy odmłodzenie jaskini, do której znów przedostały się wody płynące, prowadząc dzieło jej rozszerzenia.

Dwu członków krakowskiej sekcji grotolazów, Oleg Czyżewski i Kazimierz Grotowski, przeprowadzili pomiary promieniotwórczości we wnętrzu Kasprowej Niżniej. Okazało się, że natężenie promieniowania jest tu kilkakrotnie wyższe niż na powierzchni. Być może przyczyna tego tkwi w nagromadzeniu piasku granitowego zawierającego minerały promieniotwórcze. Sprawa ta wymaga jeszcze dalszych badań. Ciekawe będzie też poznanie wahań stanu wody w poszczególnych odcinkach jaskini i ich zależność od opadów. Niejednokrotnie przekonaliśmy się, że gdy w jednych jeziorach poziom wody jest wysoki, w innych jest jej stosunkowo niewiele — widocznie dopływ następuje do nich różnymi drogami. Także mikroklimat jaskini — jej temperatura, wilgotność, prądy powietrza, nie są dotąd poznane, choć zbadanie ich rzuciłoby wiele światła na sprawę podziemnych dróg wody w Tatrach.

FOTOGRAFOWAŁ
RYSZARD GRADZIŃSKI

miejscowych i wielu krakowskich. A więc i w 200-lecie urodzin Kościuszki, pogrzebie Witosa, panoramie reławickiej i wielu innych.

Toteż kiedy nadeszła 70 rocznica założenia, chłopcy postanowili uczcić swą orkiestrą, wspomnieć zmarłych założycieli i podziękować żyjącym. 30 czerwca 1957 roku orkiestra obchodziła swój jubileusz. Przybyły orkiestry z Niegardowa, Skrzyszowa, Goszczy, Biórkowa i kościuszkowskiej Koniuszy. Zaroiło się od krakowskich białych sukman, granatowych i zielonych kaftanów, czerwonych rogatywek z pawimi piórami. Nie brakło też kobiet w kwiecistych spódnicach i mieniących się wyszywanymi gorsetach. Gdy cały ten kolorowy tłum ruszył z cmentarza, gdzie uczcił zmarłych, przez pola ku luborzycy błońom, widok był wspaniały. Na tle falujących pól sunął przy dźwiękach muzyki barwny korowód z rozwianymi sztandarami. Potem miejscowy komitet wręczył dyrygentowi Bartoszkowi ufundowaną batutę i szarfę z napisem 1887-1957, a przemawiał przy tym Franciszek Kułaga, syn założyciela. Później mówili inni, wręczano nagrody, wbijano gwoździe pamiątkowe do batuty, tańczyły dzieci, a na zakończenie grały wiejskie orkiestry. Słońce już zachodziło kiedy luborzycy kapela kończyła uroczystość „Polskimi Kwiatami”.

Było na co patrzeć i czego słuchać. A wszystko zorganizowali miejscowi ludzie, więc zasłużony działacz ludowy Roman Domański, (który dostarczył mi materiałów do historii orkiestry), Franciszek Kułaga, Tomaszewski, Nowicki i wielu innych. A w tym roku Luborzycy znowu organizuje zjazd orkiestr wiejskich. Tym razem z całego województwa. Kto ciekaw niech przybywa.



DOKOŃCZENIE ZE STR. 2
LUBORZYCA





POCZTA POŁOWA W OKRESIE WOJNY 1812 ROKU

N° 13 PORT-PAYE
GRANDE-ARMÉE

Sto czterdzieści pięć lat temu Polska przeżywała przemarsz wielkiej armii napoleońskiej, zdążającej na podbój Rosji. Był to pamiętny, zapisany w mickiewiczowskich strofach rok 1812.

Wielkim i doniosłym wydarzeniem wojennym towarzyszyły codzienne sprawy zwykłych ludzi. O wielu przejściach, tragediach i nadziejach uczestników kampanii 1812 roku dowiadujemy się dziś z listów wysyłanych do rodzin i przyjaciół, może więc warto zapoznać się na marginesie także ze sposobami i drogami, którymi listy te docierały do kraju.

Otóż armia francuska miała już podówczas wzorowo zorganizowaną własną pocztę polową. Francja prowadząc od niepamiętnych lat ciągłe wojny, była pierwszym państwem, w którym na korespondencji wojennej już w XVII wieku zastosowano najwcześniejsze stemple poczty wojskowej — najpierw jedno lub dwuwierszowe, a później okrągłe. Napisy tych stempli miały teksty zależne od nazwy armii, które w czasie kampanii napoleońskiej brzmiały: Armée d'Allemagne, Armée du Gouverneur des villes anséatiques, Armée de Catalogne, Armée de Dalmatie, Armée d'Espagne, Armée d'observation de la Gironde, Grande Armée, Armée d'Honover, Armée d'Illyrie, Armée d'Hollande, Armée d'Italie, Armée de Naples, Armée du Nord, Armée d'observation des Pyrénées Occidentales, Division des Pyrénées Orientales, Armée du Rhin, Armée de reserve.

Materiał stemplowy z wojen napo-

leońskich jest bardzo obfity i różnorodny.

Wojskowa korespondencja francuska już wtedy była wolna od opłaty pocztowej, nie cała jednak: zachował się stempel o tekście następującym: Nr. 13 Port-Paye Grande-Armée, co świadczy o dopłacie niektórych przesyłek pocztowych.

O funkcjonowaniu poczty wojskowej w okresie kampanii 1812 roku, znajdujemy wzmiankę w pamiętnikach Henryka Dembińskiego, gdzie autor mówi: „... dochodząc do Smoleńska o jedną albo dwie stacje pocztowe, wszedłem do pocztowego domu opalisanowanego jak wszystkie były opasywane, gdzie oddziały jazdy trzymały stójki i utrzymywały komunikację z armią“. Wzmianka ta wskazywałaby na organizację poczty polowych systemem rozstawnych posterunków i załóg pocztowych na szlaku Paryż—Warszawa—Moskwa i odwrotnie. Listów z okresu kampanii 1812 roku zachowało się bardzo dużo, co nie powinno dziwić, gdyż w pochodzie wojennym brali udział żołnierze prawie z całej Europy.

W skład armii napoleońskiej dążącej na Moskwę wchodził także korpus pruski pod dowództwem generała von Yorcka, posiadającego wzorowo urządzonej instytucji poczty polowych, o czym wspomina „Archiv für Post und Telegraph“ (z 1917 r. s. 201). Tamże można znaleźć potwierdzenie wiadomości o pocztach rozstawnych, o których czytamy: „Także francuskie korpusy miały swoje własne poczty polowe. Były one jednak obsługiwane przez konnych strzelców, a nie przez wojskowych pocztylionów“.

Jeżeli pruski korpus v. Yorcka i armie francuskie miały własną pocztę

polową, to powstaje pytanie, czy wchodzący w skład wielkiej armii napoleońskiej, korpus polski posiadał własną pocztę, czy też posługiwał się francuską? Otóż sądzić można, że raczej pierwsza z wymienionych alternatyw jest słuszna. Piątym korpusem (polskim) dowodził ks. Józef Poniatowski, który podtrzymując kontakt z Główną Kwaterą i ze stolicą kraju, musiał niewątpliwie posługiwać się własną, polską pocztą polową, która typem swoim nie mogła odbiegać od organizacji podobnych poczt, obsługujących inne korpusy. Kurierzy i sztafety przebiegały od armii w polu do Warszawy i odwrotnie podług wyznaczonego z góry planu, przenosząc z miejsca na miejsce rozkazy, raporty i polecenia wojskowe, oraz korespondencję prywatną. Ta ostatnia dochodziła adresatów prędzej i pewniej, o ile znajdowała się pod opieką pieczęci osób wysoko postawionych. Niedbale natomiast załatwiana była dla reszty interesantów. Na dowód powyższych twierdzeń możemy przytoczyć kilka wyjątków z listów pochodzących właśnie z piątego korpusu. Są to listy Prota Lelewela, pisane przezeń do brata Joachima, znanego historyka, późniejszego członka Rządu Narodowego i prezesa Klubu Patriotycznego 1831 r. Listy te przedrukował prof. H. Mościcki w swej pracy pt. „Pod berłem carów“. List z dnia 15 października tak o powyższych niedomaganiach mówi:

„Piszę dziś ten list pod kopertą Generała, a drugi wysyłam drogą pocztową przez Mińsk dla sprawdzenia, czyli poczta ta jest regularną. W pięciu listach, które dotychczas od was odebrałem, prze-

konywam się, że więcej ich powinienem być odebrać. Generał, który od żony odbiera listy numerowane, spomiędzy kilkudziesięciu, trzech tylko nie odebrał... Jeżeli więc list mój przez pocztę dojdzie, będę mógł spodziewać się i od was tą drogą.

Inny list, wcześniejszy, bo z dn. 6 lipca — donosi:

„Teraz gdy generał pozwala mi pod kopertą do swej żony przesyłać, posyłam. Przedwczoraj odebrałem list od was pod kopertą generała.

A w liście z dnia 2 sierpnia tak pisze:

List pod dniem 20 lipca do Nieświeża do mnie adresowany, odebrałem. Wyczytuję z nich, iż na odebranych moich sześć, przesyłanych mi było też sześć, odpowiedzi. Ja dopiero drugi list od was odbieram.

W Warszawie istniała składnica (sortownia) przechodzącej korespondencji. Tu ją rozdzielano i rozsyłano do miejsc przeznaczenia i tu dostarczano korespondencję odchodzącą do armii w polu (mowa tylko o piątym korpusie); przesyłano ją specjalnie ustanowionymi kurierami, a czasem i przez okazję. Przeciwnie tej właśnie składnicy listowej skierowane są zarzuty przetrzymywania i gubienia listów, o czym Lelewel mówi w liście z dn. 5 sierpnia 1812 r.:

List wasz pod dniem 4 lipca dziś odebrałem — jest to trzeci. Podług rady mamy naszej dowiadywałem się o więcej listów, ale nadaremnie. Tamte pewnie w Warszawie pozostały, bo ci panowie, zatrudniający się niemi, dla nas, matych figur, pracyby nie zadawali.



GARNCARZE MOŚKA SZWARCMAŃA

Nie można się więc dziwić, że wskutek tak rażących nieporządków w instytucji do utrzymywania stałej łączności pomiędzy krajem, a armią — tak jedna, jak i druga strona korzystały z każdej nadarzającej się okazji, aby drogą prywatną, przez umyślnych posłańców czy wojskowych jadących służbowo przesyłać wiadomości o sobie krewnym i znajomym. Szczególnie potrzebne dla nastrojów wojska były wiadomości z domu, gdyż nieprzyjaciel nie omieszkał karmić przeciwnika błędnymi wiadomościami, pochodzącymi niby z kraju, a deprymująco oddziaływającymi na żołnierzy. W sprawie tej czytamy u Lelewela:

Białynicze dnia 27 lipca 1812 r. ...Listy, które pisałem, nie musiały ręk waszych dojść, gdy, tak niecierpliwie oczekując wiadomości, żadnych nie odbieram. Kapitan Mrozek jedzie do Warszawy i jest tak dobry, że ten list oddać zobowiązał się...

a w przypisku do listu z dnia 27 lipca tr. tak skarży się na rozsiewanie złych wiadomości:

...rozsiewane są u nas wiadomości, żeby nas trwożyć, że Moskale spaliwszy Włocławek, zajęli Lublin i posuwają się do Warszawy. My temu nie wierzymy, a jednak skąd takie wiadomości? Podobnych pewno nie brak w Warszawie.

W miarę posuwania się armii napoleońskiej na wschód, ustępujące wojska niszczyły za sobą wszystko, a pomiędzy innymi także i urzędnictwo pocztowe, których brak odczuwały dotkliwie oddziały armii napoleońskiej. Nie dysponując na razie innymi środkami łączności z krajem, zaprowadzono poczty prowizoryczne, o czym czytamy:

1812. Grodno, 4 lipca. ...Żukowski, odjutant generała Biegańskiego, jedzie do Warszawy — zabiera stąd rozmaite listy, a że poczty jeszcze niema ustanowionej, gdy tę Moskałe zagarnęli, staje na wygodzie, że mogę przez niego przestać tych słów kilka.

Od 20 czerwca do października 1812 r. poczta wojskowa kursowała pomiędzy następującymi stacjami pocztowymi: Serock, Pułtusk, Rożań, Ostrołęka, Nowogród Stawiski, Szczuczyn, Rajgród, Augustów, Lipsk, Hołynka, Grodno, Nowogródek, Nieśwież, Stuck, Ihumień, Mohylów, Bychów Stary, Rohaczew i Bobrujsk — zgodnie z planem marszu 5 korpusu, który przechodził przez wymienione miejscowości.

Sztafety szły z Warszawy do Mohylowa osiem albo dziewięć dni. Obok listów przewożono także gazety (np. „Gazetę Korespondenta”). Listy adresowano podług następującego wzoru: „A monsieur Lelewel, capitaine aide de camp, de la 17 division du 5 — corp. de la Grand Armée par Ostrołęka, Novograd” itd. Albo „Do L. Kapitana adj. w dywizji 17, korpusu 5-go Wielkiej Armii, przez Mińsk, gdzie się znajduje dywizja 17”.

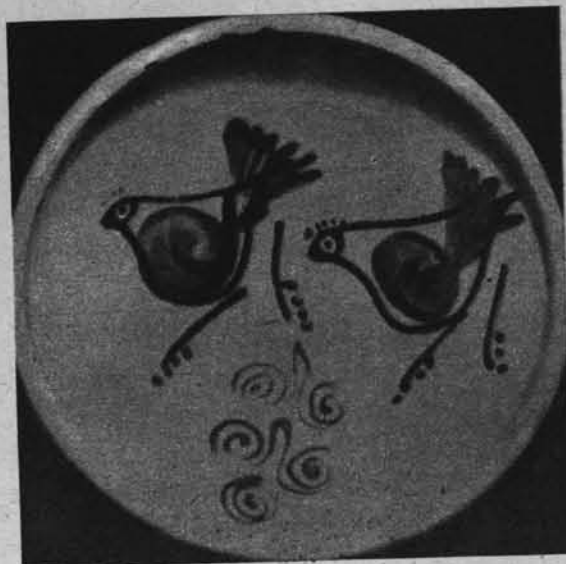
Ustanowiona w ten sposób poczta wojskowa, z mniejszym czy większym sukcesem spełniała ciężkie swoje obowiązki, przez czas pochodu na Rosję w pamiętnym 1812 roku.

Wydrążony róg kończy się cienkim lejkiem z gęsiego pióra. Kilka ruchów dłoni uzbrojonej w to oryginalne naczynie i oto zielonożółta powierzchnia niewypalonego dzbanka pokrywa się siecią ozdób. Teraz przed wypałem wyglądają bardzo niepozornie. Popielata polewa spływająca z rózka słabo odcina się od powierzchni naczyń. Za chwilę zresztą zniknie całkowicie pod warstwą oblewającej je glazury. Dopiero w głębi pieców wypełnionych huczącym płomieniem przejdą naczynia swą niezwykłą — w oczach laika — przemianę. Tam, w wysokiej temperaturze glina stwardnieje na kamień. Spod stopionej na szkło glazury wyjrzy biały i zielony ornament. Błyszczą kręgi ślimacznicy, zakwitną na garnkach i doniczkach wielkie geometryczne kwiaty, a na kremowobiałych misach pojawią się śmieszne kurczęta z rozdziawionymi dziobami.

Ruszają w świat starannie owinięte słomą naczynia z Łązka Ordynackiego. Do Lublina, Warszawy, do wszystkich większych miast w Polsce. Do luksusowych sklepów „Cepelii”, gdzie —

Malowanie doniczek za pomocą rózki w warsztacie garncarskim rodziny Startków.

Charakterystyczna dla Łązka kremowa miska, malowana w zielone ptaki. Wykonał Józef Noworol. Fot. Stefan Deptuszewski.



„wycenione” słono — dekorują półki. Co roku wędrują również na wystawy sztuki ludowej budząc nie tylko tradycyjny już zachwyt etatowych koneserów lecz również i szczerzy podziw bezinteresownego widza. Są bowiem — w przeciwieństwie do całej plejady zrobionych na pokaz eksponatów ceramicznych, nadesłanych przez inne garncarnie ludowe — piękne i proste zarazem. Toteż aż trudno czasami uwierzyć, że wykonali je wiecznie umorusani gliną wieśniacy z małej leśnej wioski na Lubelszczyźnie. Trudno uwierzyć, że te śmiałe, a jednocześnie ze znakomitą precyzją wymalowane ornamenty tworzyły żony garncarzy, które w wielu wypadkach z malowaniem ceramiki zetknęły się dopiero w rodzinie męża — rzemieślnika. A jednak tak jest. I co ciekawsze, ten dziś jeden z najwybitniejszych w kraju ośrodków garncarstwa ludowego zawdzięcza swe powstanie i rozwój jednemu człowiekowi, który dostrzegł w tej gałęzi sztuki ludowej „złoty interes”. Dostrzegłszy zaś, potrafił zdobyć się na konsekwencję i rozmach w realizacji swej idei.

*

Granica biegła rzeką odległą o trzy kilometry. Po tej stronie strzegli jej rosyjscy strażnicy, po tamtej — austriacy. A po obu stronach, w takich samych wioskach rozrzuconych tu i ówdzie wśród

rozległych lasów mieszkali polscy chłopci. Zarówno jedni jak i drudzy gospodarowali na nieurodzajnych piaskach, kradli drzewo z pańskich lasów, upijali się po karczmach i jeździli na jarmarki do nędznych, podupadających co najmniej od stu lat miasteczek. Słowem żyli w podobnym środowisku. Różnili się tylko pod jednym, zasadniczym względem: ci byli poddani rosyjskiego imperatora, tamtych miłościwie panował austriacki Franciszek Józef. Toteż obie połacie kraju trzymane były w znacznej izolacji od siebie. Nie znaczy to bynajmniej by nie kontaktowano się nawzajem. Ba, nieraz i przenoszono się z jednej strony na drugą. Wypadki takie jednak zdarzały się rzadko.

W pobliżu granicy w miejscu dzisiejszego Łązka około 100 lat temu mieszkało dwu garncarzy. Jeden, nazwiskiem Biejek przybył tu spod Bilgoraju. Drugi, niejaki Sikora pochodził z austriackiego zaboru, z garncarskiej wsi Medynia Głogowska, leżącej tuż pod starym, cechowym centrum ceramicznym Sokołowem Małopolskim. Ale



ani Sikora, ani tym bardziej Biejek nie zaślęnieli na owym miejscu wysokim kunsztem. Ich szorstkie garnki z czerwonej gliny, zaledwie na krawędzi muśnięte glazurą nie miały nic wspólnego z efektowną „malowaną” z Sokołowa i wzorującej się na nim Medyni. I oto nagle pod koniec ubiegłego stulecia na ten mizerny ośrodek wiejskiego garncarstwa zwraca uwagę Mojżesz Szwarzman, żydowski handlarz ceramiki z pobliskiego Janowa Lubelskiego. Można przypuszczać, że Mosiek nim zaczął realizację swych planów, pilnie obserwował produkcję garncarni w Sokołowie i Medyni. I niewątpliwie zwrócił uwagę na zyski jakie ciągnęli jego pobratymcy, handlujący po drugiej stronie granicy malowaną ceramiką. Stworzyć tuż pod bokiem własną osadę garncarzy, wyrabiających takie same piękne majoliki — oto myśl, która świta obrotnemu kupcowi. Granica bronić go będzie przed rzeszowskimi konkurentami. Pośród licznych miejscowych garncarzy produkujących uporczywie nieglazurowane siwaki już to z braku umiejętności, już to z pewnego konserwatyizmu, prawdziwą rewolucją będą barwne polewy.

Sprowadza tedy Szwarzman do Łązka z Sokołowa i Medyni garncarzy-specjalistów. Piotra Kuźmę, Jędrzeja Sikorę, braci Koziarzy, Jędrzeja Draka, niejakiemu Cołkę i paru innych, których nazwiska utonęły w niepamięci. Mosiek, to pejsate indywiduum w chałacie, być może grotesko-

ALEKSANDER
ŚNIEŻKO

we z pozoru, w rzeczywistości mógłby dziś sporo nauczyć niejednego wykształconego kalkulatora. Spróbowanym garncarzom Żyd wynajmuje na własny koszt chałupę u miejscowych rolników. Łopówkami i wódką zjednuje sobie rosyjskiego oficera straży granicznej. Ale kopana w lesie glina nie chce się dobrze wiązać z polewami i glazurą. Odpowiedniejsza znajduje się w rzece, przez którą biegnie granica. I znów Mosiek odwiedza oficerów straży, a później ich podwładni nie będą już dostrzegali łądeckich garncarzy dobywających surowiec.

Dymią podłużne dwukomorowe piece garncarskie, ukryte w drewnianych szopach. Ich model przyniósł tu garncarze wraz z nowym kunsztem. Ceglany, grubo oblepiony gliną kałuż jest podzielony wewnątrz pionowym rusztem na dwie komory. Większą wypełniają w specjalny sposób ułożone naczynia, do mniejszej garncarz wsuwa raz po raz długie kawały drewna, śledząc przebieg wypału. Wystarczy chwila nieuwagi, a płon wielu tygodni pracy całej rodziny garncarza stopi się i szernieje. Przybywający z wozami po towar Mosiek, lub młodsze pokolenie rodziny Szwarzmanów, Jankiel i Aaron, nie dadzą oczywiście ani kopiejki za zmarnowany wypał. Nikt we wsi nie robi siwaków. Nie po to bowiem sprowadzał sobie Mosiek sokołowskich rzemieślników. Siwą ceramikę skupuje na kopy od innych garncarzy tego regionu. W Łątku robią dla niego przede wszystkim miski, pięknie oblane wewnątrz kremową gliną dostarczaną tu przez żydowskich kupców aż spod Ostrowca Świętokrzyskiego. Na miskach ptaki, kwiaty, gałązki. Takich mis nikt tu dotychczas nie widział. Są zupełnie podobne do prawdziwych fajansowych talerzy. A jednocześnie... niż od nich tańsze. Toteż ze skład... zarcmana w Janowie wędruje... ceramika daleko... Te właśnie miski znajdują się będą później np. w zakrytych cerkiewkach łemkowskich na Podkarpaciu.

Popłatny zawód garncarza nęcił niejednego okolicznego wieśniaka dotychczas z trudem utrzymującego się na lichych piaszczystych gruntach leśnych. Toteż przybysze z Rzeszowszczyzny znaleźli w Łątku sporo chętnych uczniów i naśladowców. Przed wybuchem I wojny światowej pracuje tu 8 warsztatów, a trzeba nam wiedzieć, że każdy taki warsztat zatrudnia całą dosłownie rodzinę garncarza. Mężczyźni toczą naczynia, przygotowują surowiec i wypalają. Kobiety malują i oblewają gładką. Nawet dzieci biorą udział w robotach pomocniczych. Miski z Łąłka mają teraz na rynku wyrobioną markę, budząc podziw i zazdrość w takich nawet słynnych ośrodkach ceramiki ludowej jak Urzędów i Pawłów, mimo że tam garncarstwo ma już kilkunastoletnie tradycje. Kiedy stary Mosiek podejmuje próbę zorganizowania w Janowie manufaktury ceramicznej, która przyniesie mu bankructwo, garncarze z Łąłka obejdą się już bez protektora.

W okresie międzywojennym nadal ciągną do Łąłka karawany żydowskich furmanek z samborskim kupcem Koprem na czele. Granica przestała istnieć, wzrastają kontakty z Medynią. W latach trzydziestych Łążek buduje sobie nowoczesne piece z kominami i ulepszonym paleniskiem. Wokół pieców powstają obszerne pracownie. Nikną więc powoli z izb sięjące wilgoć kupy gliny i umazane błotem ławy z garncarskim kręgiem. Tutejsi garncarze składają w Lublinie ziemiełnicze egzaminy, podpatrują na jarmarkach u innych kolegow po fachu formy i ozdoby. Oprócz misek robią już inne rodzaje naczyń, a ich ceramikę podobno całymi wagonami rozwozi się po południowej Polsce.

Po wojnie Łążek prosperuje nadal doskonale. Nie stało dawnych kupców, pojawili się nowi. A co najważniejsze, malowana ceramika zwraca na siebie uwagę „panów z miasta”. Zaczynają się wystawy, nagrody. W roku 1950 C. P. L. i A. organizuje tu spółdzielnię. Aż naraz coś zaczyna się psuć. Po pierwsze z roku na rok psuje się jakość przydziałowej glejty.

Po drugie z kalkulacją wyrobów zaczyna być coś nie w porządku. Nim garnek, dzbanek lub miska dotrą do rąk ewentualnego nabywcy, cena ich tak wzrasta, że ten rezygnuje z kupna. I dzieje się to nawet nieraz w wielkich miastach, gdzie ceramika taka kupowana jest dla „ozdoby”. Jeszcze gorsza sytuacja panuje w miasteczkach i na wsi. Tu ceramikę nadal kupuje się dla celów czysto użytkowych. Chłop woli więc kupić na targu od prywatnego kupca tańsze naczynia niż w drogiej spółdzielni. Kupiec zaś nabywa te naczynia za grosze w Łątku, ale spośród tzw. braków. Toteż pobyt na malowane garnki maleje. Szyby jeszcze może siwaki, ale jakże tu je zacząć robić w „artystycznej spółdzielni”. Ruszyła więc uboczna produkcja zwykłych, gładkich kafli. Prosta robota, łatwa, popłatna. Nie to co mizolne toczenie na kole i malowanie różkiem. W rezultacie jesienią zeszłego roku na 18 członków łądeckiej spółdzielni tak naprawdę to już tylko 5 osób zajmowało się wyrobem naczyń, z których ongiś słynęła ta osada. Warto zapamiętać ich nazwiska, bo kto wie czy za parę miesięcy i oni nie zarzucą tej nierentownej sztuki. Otóż jesienią 1957 r. do tych ostatnich czynnych tu garncarzy należeli: Franciszek i Mateusz Stratkowie, Stanisław Pasek, Józef Garbocz i Katarzyna Krzywulska. Reszta zajmuje się przede wszystkim lub nawet wyłącznie kaflarstwem.

Nic w tym zresztą dziwnego. Kaflarstwo to ostatni ratunek garncarza z chwilą gdy jego pierwotny zawód przestaje się opłacać. Zdunami stali się np. krakowscy i mazurscy garncarze. Ten sam proces możemy obserwować i w Łątku. Bo nawet obniżka cen nie na długo uratowała by łądecki ośrodek. Pod naciskiem potrzeb dnia dzisiejszego prędzej czy później musi zmienić typ swej produkcji. Chyba, że znajdzie na swe malowane naczynia jakiegoś nowego klienta.

FOTOGRAFOWAŁ ZBIGNIEW GUCWA

Kaflarstwo, początkowo przedmiot ubocznej produkcji, zaczyna coraz bardziej wypierać w Łątku garncarstwo.

Garncarz Startek z Łążka Ord. przy pracy. Uwagę zwraca sposób siedzenia bokiem przy kole, charakterystyczny dla garncarzy tego regionu.



W Łątku większość ceramiki suszy się obecnie w osobnych pracowniach.

Ceramika z Łążka, ozdobiona typowym dla tego ośrodka motywem wielkich „grochów”.





Autor artykułu
prof. dr Walery
Goetel, prof. Aka-
demii Górniczo-
Hutniczej w Krako-
wie, dyrektor Za-
kładu Ochrony
Przyrody PAN.

WALERY
GOETEL

Z RUCHU OCHRONY PRZYRODY W SŁOWACJI

Z wielką przyjemnością biorę do ręki zeszyty znakomicie redagowanego przez prof. J. Vesely'ego i pięknie wydawanego w Pradze, organu Państwowej Rady Ochrony Przyrody w Czechosłowacji — „Ochrana přírody”. Znajdujemy tu szczególnie interesującą nas wiadomość o naradach i seminarium konserwatorów i sprawozdawców ochrony przyrody okręgu bańsko-bystrzyckiego. Konferencje takie zwoływane corocznie przez Wydział Kultury Rady Narodowej w Bańskiej Bystrzycy poświęca się rozmaitym szerszym i lokalnym zagadnieniom ochrony przyrody. Jedną z ostatnich odbywała się w rejonie Lubietowej, słynącym z osobliwości ożywionej i nieożywionej przyrody. W budynku szkolnym w Lubietowej zebrało się na czterodniowe obrady czterdziestu konserwatorów przyrody, dobieranych w Czechosłowacji spośród wybitnych fachowców z tej dziedziny, uczestniczyli również tzw. „sprawozdawcy ochrony przyrody”, których zadaniem jest zbieranie informacji z tego zakresu.

Bardzo interesujący był program owej konferencji. Wśród zagadnień ogólnych znalazły się wykłady o znaczeniu ochrony przyrody dla kultury narodowej, o roślinach chronionych Słowacji, o ochronie ptaków drapieżnych, o znaczeniu ochrony lasów dla stanu wód, o zgubnym wpływie wypasu na gospodarkę le-

śną; wśród tematów lokalnych — szczególną uwagę budziły referaty o zjawiskach krasowych Słowacji. Wykłady były przeplatane wycieczkami w okolice, na których studiowano zagadnienia ochrony przyrody w czterech grupach: geologicznej, botanicznej, krajoznawczej i ogólnej, przy czym każda z tych grup miała swego fachowego przewodnika. W czasie konferencji roztrząsano również zagadnienia udoskonalenia i usprawnienia pracy konserwatorskiej, podkreślając, jak to pisze T. Hudec, autor artykułu w „Ochrana přírody”, konieczność takiego wychowania ludzi. „aby z każdego człowieka w naszej pięknej ojczyźnie wychować gorącego miłośnika przyrody”. W konferencji i wycieczkach brał udział naczelny konserwator ochrony przyrody z Ministerstwa Kultury w Bratysławie J. Matis, a także prof. V. Puscari, gość z Bukaresztu.

W wyniku konferencji uchwalono szczegółowe tezy, które ujmują całokształt zagadnień badania jaskiń oraz ich udostępnienia i użytkowania dla ruchu turystycznego. Zagadnienia te mają szczególne znaczenie dla Słowacji, która posiada jedne z najliczniejszych, najróżnorodniejszych i najpiękniejszych jaskiń na kuli ziemskiej. Nadto wskazano w protokole obrad na szereg spraw i u nas wysuwających się na pierwszy

plan, jak zanieczyszczanie wód i powietrza, racjonalną gospodarką wodną, wpływ wzrostu przemysłu na przyrodę i zdrowie ludzkie, właściwą organizację służby ochrony przyrody itd.

Zdaje mi się, że najsluszniejszym wnioskiem, jaki możemy wyciągnąć z relacji „Ochrony přírody” jest: urządzić podobne konferencje, w tym wypadku polsko-czechosłowackie.

Ileż to wspólnych problemów w naszych pogranicznych parkach narodo-

wych — Tatrzańskim, Pienińskim, Babiogórskim, a w najbliższej przyszłości Sudeckim, wymaga omówienia i uzgodnienia!

A naszym braciom słowackim życzymy gorąco dalszego równie pięknego rozwoju idei ochrony przyrody, mającej tak poważne zadania dla kultury i gospodarki narodowej, idei zrealizowanej wspaniale w wielkim dziele jakim jest Tatrzański Narodni Park!

„ODNASZAĆ PUKIETY”

Wysokie Tatry są imponującym masywem górskim w obłoku Karpat ograniczone na wschodzie siodłem Kopskim i na zachodzie siodłem Laliowym. Główny górski grzebień jest 17 km szeroki i 26 km długi z licznymi zboczami, które wytwarzają piękne doliny Tater z czarownymi jeziorami. Na wschodzie Belanske Tatry i na zachodzie Liptovské hole łączą się organicznie niemal z Wysokimi Tatrami.

Teraźniejsze pódobieństwo, Tatry otrzymały w porze lodowitej, na obszarze Wysokich Tater są kapitalne wysokogórskie asocjacje roślinstwa.

Kozica, świstak, orzeł skalny, niedźwiedź przedstawiają pojedyncze gatunki świata zwierząt. Kozic zostało należonych około 600 i świstaków 900.

Aby w przyszłości został zachowany estetyczny charakter kraja i kształt przyrody w pierwotnym nienaruszonym podobieństwu a przede wszystkim aby była udzielona potrzebna opieka dla społeczeństwa roślin i świata zwierząt i ich rozwoju w pierwotnym środowisku, zostały Wysokie Tatry ogłoszone ochronną naturalną rezerwacją Tatrzańskim parkem narodowym TANAP.

Turyści, rekreanci i każdy odwiedzający na obszarze Tatrzańskiego parku narodowego i choć są wystawieni pewnym uporządkowaniu nawet w niektórych miejscach i ustawie, zakazane jest zbieranie jakiegokolwiek roślinstwa z korzeniem odnaszać pukiety z korzeniem i bez korzenia, olamywać kosodrzewinę, wolnie obozować, kłaść ogień obwiaszcza na niezastrzeżonych miejscach, praktycznie takich ograniczeń wcale ani nie odczuwają dlatego, że na rozległym obszarze TANAP są duże możliwości do prowadzenia takiej turystyki, która nienarusza uporządkowania TANAP.



TATRAŃSKI PARK NARODOWY

to tytuł ulotki wydanej
w języku POLSKIM przez



Cedom, Czechosłowackie Biuro Podroży,
Praga 3, Na přikopě 18

Trzy i pół metra liczyła drewniana fujara, na której ongiś na Śląsku Cieszyńskim grali beskidzcy górale. Jeden z takich trębaczy ludowych (być może ostatni w tym regionie) zmarł 4 lata temu we wsi Wisła-Malinka. Zwał się Andrzej Szalbot. Sława jego sięgała niegdyś daleko po obu stronach gór. W roku 1892 zaproszono nawet Szablota na ogólnokrajową wystawę do Wiednia. Góralski muzykant i jego talent stanowią niewątpliwie pożądane curiosum folklorystyczne dla organizatorów wystawy. Toteż wcale nas nie dziwi opowiadania Szalbota o tym jakoby w Wiedniu dał on koncert na swej „trąbie” w obecności „samego cesarza Franciszka Józefa i wiedeńskiej arystokracji”.

FUJARA • NADESŁAŁ WŁADYSŁAW MOST



Rys. Janusz Smólski

Znaną i cenną pamiątką narodową jest słynna wieża Kopernika we Fromborku nad Zalewem Wiślanym. W niej to bowiem mieszkał przeszło 20 lat i pisał swoje dzieło „De revolutionibus orbium coelestium”, a następnie dokonał pracowitego żywota (24. V. 1543) Mikołaj Kopernik.

Wieżę tę wzniesiono jeszcze w XIV stuleciu wyznaczając jej funkcję osłaniania północno-zachodniego narożnika fromborskiej twierdzy. W nieokreślonym dokładniej czasie, być może ok. 1530 r. nabył ją Kopernik i zaadaptował na mieszkanie oraz pracownię, które mieściły się w trzech górnych kondygnacjach budowli.

Z czwartą kondygnacją łączyć się miał kryty ganek, biegnący wzdłuż murów ku zachodniej bramie i poszerzony przy południowej ścianie wieży, podobnie jak to przedstawił na znanym obrazie Jan Matejko. Na pomoście tym ustawione były prawdopodobnie narzędzia astronomiczne, planisfera, trikwentrum i astrolabium. Wiadomość o przeprowadzaniu przez Kopernika obserwacji m. in. z wieży uzyskał od pamiętających astronoma naocznych świadków duński uczyony Elias Olaf Morsian w czasie swego pobytu we Fromborku w 1584 r. Przybył on wówczas na polecenie Tycho de Brahe dla sprawdzenia wyznaczonej przez Kopernika szerokości geograficznej miasteczka.

Przeprowadzone we wrześniu 1953 r. z ramienia Polskiej Akademii Nauk badania astronomiczne z użyciem odtworzonych przez Przypkowski instrumentów jakimi posługi-

wał się Kopernik wykazały, że prawie wszystkie obserwacje fromborskie mogły być wykonane z pomostu przy wieży. Jedynie tylko przy pomiarach dokonanych w dniu 27. IX. 1522 potrzebne było wysunięcie pomostu o 1 metr poza ścianę ku wschodowi.

Po śmierci Kopernika jakoby sprzedano jego wieżę za 30 marek, a później niejednokrotnie ją przebudowywano zależnie od potrzeb właścicieli, którymi byli kanonicy kapituły fromborskiej. W XIX w. obudowano wieżę i mur zachodni od strony dziedzińca domami, które uległy zniszczeniu w 1945 r.

W związku z otwarciem we Fromborku w 1948 r. Muzeum im. Mikołaja Kopernika postanowiono odbudować zachodnie skrzydło fortecy jako najbardziej związane z osobą astronoma. Wkrótce podjęte zostały bardzo szczegółowe badania w celu uzyskania materiałów dokumentacyjnych, pozwalających na przywrócenie wieży i jej otoczeniu takiego wyglądu jakie miały w tym czasie kiedy mieszkał tu Kopernik.

W wyniku studiów przeprowadzonych przez architektów C. Wegnera, F. Kułakowskiego i S. Szymańskiego wykonano w ostatnich latach znaczną część robót konserwatorskich przy wieży i zachodnim murze obronnym, a także odtworzono fragmenty dolnej i górnej kondygnacji ganków na tym murze. Roboty te zostały jednak przerwane; nie dokończono nawet przykrycia zadawień. Smętny obraz opuszczonych robót podkreśla typowy nieporządek u podnóża muru. Leżą tam bezładnie materiały budowlane i stopy glazów.

CURIA COPERNICANA

FRANCISZEK MAMUSZKA



Obwód warowny wzgórza katedralnego we Fromborku, od strony wschodniej.

Z DAWNYCH KRONIK
I INNYCH ZABYTEKÓW
PIŚMIENICTWA

SZANOWNI PANOWIE!

Wraz z autorem artykułu „Kolonialna kuchnia” (ZIEMIA nr 9/57) pytam jak właściwie przedstawia się stan dobrobytu polskiej sztuki kulinarnej? Na podstawie jadłospisów z dzisiejszych naszych restauracji można by sobie wyrobić mniemanie, że tradycyjną potrawą Polaka jest „kotlet schabowy z ziemniaczkami i kapustą”. Znamy też powiedzonko „kartofle i żur — polskiej kultury wzór”. Nie wierzę jednak by tak bywało zawsze. Trudno mi też uwierzyć, że kotlet i żur to jedyni reprezentanci polskich potraw narodowych. Co najwyżej przypuszczałbym, że raczej jest to uproszczony i nieco zbarbaryzowany jadłospis właściwy dla naszego kraju. A może sięgnąć do tradycji? Skoro tak młody naród jak Wenezuelczycy ma w tej dziedzinie tyle do powiedzenia, o ileż więcej mogliby powiedzieć o tym mistrzowie staropolskiej kuchni? Przecież w tych czasach kiedy na plantacjach wenezuelskich w tropikalnej puszczy dopiero zaczynało się kształtować miejscowe menu, u nas — przynajmniej wśród szlachty i mieszczaństwa — wyrafinowane obżarstwo kwitło już od wieków.

Adam Nowicki
Lublin

*

Do zagadnień polskiej sztuki kulinarnej powracać będziemy nie raz na łamach ZIEMI. Na początek posłuchajmy, co nam na temat polskiej kuchni za króla Sasa opowiada XVIII-wieczny pamiętnikarz. Jest nim Jędrzej Kitowicz, konfederat barski, a następnie książd-

katolicki i proboszcz w Ręczycy pod Wolborzem. Jego „Opis obyczajów za panowania Augusta III” o kuchennych sprawach traktuje w rozdziale „O stołach i bankietach pańskich”. Dotyczy on niestety tylko menu stołów magnatów i bogatej szlachty tej epoki.

„W pierwszym zwyczaju staro-wiecznym, na początku panowania Augusta III jeszcze trwającym, nie było zbyt wykwintnych potraw. Rosół, barszcz, sztuka mięsa, bigos z kapustą z różnego mięsiwa kawalcami, kielbasą i słoniną, drobno pokrajanymi i z kapustą kwaśną pomieszczanymi, i nazywano to bigosem hultajskim, dalej gęś gotowana z bigosem i grzybkami suszonymi, w kostkę

drobno pokrajanymi, kaszą perłową zasypiana; gęś czarna, którą u pomniejszych panów zaprawiano tak: kucharz upalił wiechę słomy na węgiel, w niedostatku czystej z bota czasem naprędcę wyjęty, przydał do tego łyżkę lub więcej miodu praśnego, przylał podług potrzeby jakiego octu mocnego, zmięszał z ową słomą spaloną, zasypał pieprzem i imbirzem, a zatem stała się gęś czarna, potrawa dobrze wzięta owych czasów i podczas największych bankietów używana.

Nicht mi nie zada, iż taką przyprawę słomianą zmyśliłem na wyzyszczenie staro-wieczniczyny, kiedy sobie wspomni na tarnosolis, płatki, których po dziś dzień

kucharze do farbowania galarek i cukiernicy do farbowania cukrów używają; wszak te płatki są to zdiery starych koszul i pluder, które gaciami zowią, płóciennych; jeżeli mi nie wierzy, niech sobie ich káže dać funt w korzennym sklepie, znajdzie między tymi płatkami kołnierze do koszul i paski od gaci. Jeżeli powie, że te płatki, nim poszły do farby, wprzód musiały być czysto wyprane, to też uważać powinien, że ogień, którym słoma do gęsi była palona, bardziej wyczyszczał wszelkie brudy niż woda płatkę.

Dalsze potrawy: flaki, czasem żółto szafrancem zaprawiane (osobliwie w województwie sandomirskim), od których —



i od cielęciny tymże szafranem zaprawianej — nazywano ich żółtobrzuchami, bez szafranu, w białym sosie mąką zaklepanym; cielęcina szaro, cielęcina białe ze śmietaną, kury, kurczęta, gęsi rumiano, indyki, kapłony, bażanty, baranina z czosnkiem, prosięta, nogi wołowe na zimno z galercą, wędzonka wołowa, a w Wielkiej Polsce barania i wieprzowa. Wszystko to rozmaitymi smakami, do których zwyczajne zaprawy były: migdały, rodzenki, kwiat, goździk, galca, imbir, pieprz, szafran, pistacje, pinelle, tartofle, miód, cukier, ryż, cytryna, ale bardzo jeszcze na ten czas mało, jako droga, bo od tynfa jedna sztuka najtańsza! nadstawiano kwasu potrzebę octami; dalej jeszcze: kielbasy, kiszki z ryżem i wątrobnę; też zwierzyzna: zające, sarny, jelenie, daniel, dziki, przepiórki, kuropatwy, kaczki dzikie, cięćwierze... Z tymi mięsiami łączyli warzywa ogrodowe, jako to: marchew, pasternak, rzepę, buraki i kapustę słodką.

Takowe potrawy dawano na pierwsze danie i było to wszystko gotowane i przysmażane; gdy zaś takie było, zwało się po francusku: ragu, frykassé. Na drugie danie stawiano na stół takie

które hajducy we dwóch nosili, bo by jeden nie uniósł.

...Trzecie danie składało się z owoców ogrodowych i cukrów rozmaitych na talerzach i półmiskach, między które stawiano z cukru lodowatego misternie zrobione baszty, cyfry, herby, domy — dragantami zwane, które biesiadujący łamiąc burzyli. Postne obiady tymże szły porządkiem, co i mięsne; a że wtenczas Polacy ściśle zachowywali posty, nie obaczył u żadnego pana na stole maślanej potrawy, ale wszystkie z oliwą lub olejem, który wybijano z siemienia lnianego, konopnego, z maku i migdałów.

Tak to wyglądały owe staropolskie jadłospisy, które jednak już za życia Kitowicza stały się anachronizmem, ustępując coraz bardziej „nowomodnym wymysłom“. Tym kulinarnym nowinkom poświęca proboszcz z Rzeczycy dalszy ciąg opisu potraw:

„Skoro się naciśnięło do Polski kucharzy Francuzów i rodacy wydoskonaliłi się w kucharstwie, zniknęły potrawy naturalne, a nastąpiły na ich miejsce najwykwintniejsze, jako to: zupy rumiane, zupy białe, rosoly delikatne, potrawy delikatne z mięsów rozmaitych



w nim przyrodzoną wilgotnością swoją wielkość flegmy... Łosiosia świeżego u panów wykwintniejszych gotowano w samym winie burgunskim, przecież w samej rzeczy nie był on lepszy od gotowanego w wodzie, chyba przez imaginację. Nic to było kucharzom wielkich panów do jednego obiadu na kilkadziesiąt osób zepsuć kopę cytryn, których dawniej kilka do takiegoż obiadu wystarczyło, bo kucharz jedną cytrynę wyprzeżował do potrawy, a dwie schował do kieszeni. Toż samo działo się z winem, którego część do potrawy, a dwie części wlał kucharz do gardła. I gdy

miski i głębokie, nastaly małe, okrągłe, i płaskie salaterki... Byłoby grubijanstwem i obrzydzeniem, gdyby na jedną misę położono dwie pieczenie albo dwóch indyków... Nie uważano zatem choć się tej i owej potrawy nie każdemu dostało, gdy natomiast liczba potraw do 60 i więcej na jedno danie stawiana, nadgradzała szczupłość onych; a do tego gdy rosoly, zupy, sztuka mięsa i pieczenia w tej obfitości były zastawione, żeby się w nich każdemu choć po trosze dostało. Moda też wprowadzona razem z nowymi potrawami ostrzegala gości, żeby się nie bardzo potrawami obkładali, kosztując bardziej tej i owej po trosze niż jedząc, chociaż drugi, dobry mające apetyt dla tej mody wstał głodny od stołu, co się najwięcej wstydlivej białej pici i galantom francuskim przytrafiało. ...Ciasta także francuskie, torty, pasztety, biszkopty i inne, pączki nawet — wydoskonaliło się to do stopnia jak najwyższego. Staroświeckim pączkiem trafiwszy w oko, mógłby go podsić, dziś pączek jest tak pulchny, tak lekki, że ścisnąwszy go w rękę, znowu się rozciąga i pęcznieje jak gąb-



mięsiwo i ptastwo, pieczone na sucho albo też jakim sosem podlane.

W tych zaś wszystkich potrawach najbardziej przestrzegano wielkości, tak iż półmiski i misy musiały być czubate. Między pomienione pieczone z mięsa stawiano także torty i ciasta francuskie, które jeszcze dotąd widzujemy, ale te ciasta owych czasów dla niewydoskonalonej sztuki kucharstwa były bardzo ciężkie i grube względem terażniejszej delikatności onych. Nie dobierało do nich masła młodego, ale owszem starego, czasem aż zielonego, albowiem takie było sporsze, dając więcej czucia swego... Język... kiedy nie kosztował tortów i ciast francuskich, z młodym masłem pieczonych, przyjmował z gustem i pieczone z starym ciasta, jako nowe specjalny, lepsze od klusków i pierogów.

Między półmiski rozmaitym ptastwem i ciastem napelnione stawiano dwie albo trzy misy ogromne, na kształt piramidów z rozmaitego pieczonego złożonych.

komponowane, pasztety przewyborne. Zaprawy nie wystarczały z korzennych sklepów; brano z aptek spirytusy, esencje i olejki drogie, zapachu i smaku przydające i apetyt rozdrażniające. Gęś czarna wyszła z mody... Miód praśny, powszechnie ze wszystkich kuchni pańskich i szlachty mającej został wywołany, na jego miejsce nastąpił cukier. Cytryny były już powszednie i gdzie przedtem nadrabiano octem, tam potem robiono kwasy z cytryn, a jeżeli dla oszczędności przymieszowano octu, to samego winnego i to w malej kwocie. Zaden kucharz nie miał się już za dobrego, jeżeli musiał gotować bez cytryny. Pistacje i pinelle wyszły z mody, a nastaly na ich miejsce kapary, oliwki, serdele, tartofle i ostrygi marynowane. Wina także zaczęto używać do potraw, które miały być z ostrym sosem, mianowicie zaś szafowano nim do ryb, o których zaczęto już powoli trzymać, że szkodzą zdrowiu ludzkiemu, sprawiając

kucharz wołał wina do ozora, prawdę mówić, że go potrzebował do ozora, ale do swego, nie do wołowego. Niechby mu nie dodano czego podług jego woli, z umysłu zepsuł potrawę udając, iż nie miał dosyć ingrediencyj, których do takiego smaku potrzebował.

Oprócz sztuki mięsa... inne wszystkie potrawy nalewano sokiem, z mięsiwa rozmaitego wygotowanym. Ten sok po kucharsku zwał się alabrys... Drugim wymysłem był farsz — to jest siekanka z loju wołowego, z cielęciny, z kapłona, z chleba tartego, jajec, masła, galki muszkatowej, pieprzu, imbiru i innych korzeniów; tym farszem nadziewano mostki cielęce i baranie, prosięta, kapłony, kury, które nazywano pulardami. Dosyć wyrazić, że tyle mięsiwa, ile go psuli kucharze na sosy i siekanki, wystarczyło przedtem na cały suty obiad, a przecież lubo tak wiele mięsiwów i ptastwa brano do kuchni, na stole mało znać było. Wyszły z mody wielkie pół-

ka do swojej objętości, a wiatr zdmuchnąłby go z półmiska.

...Nie ustępując nasi Polacy w niczym Włochom i Francuzom, nawykli powoli, a dalej w najlepsze specjalny obrócili owady i obrzezki, którymi się ojcowie ich jak jaką nieczystością brzydili. Jedli żaby, żółwie, ostrzygi, ślimaki, granele, to jest jąderka młodym jagniętom i cielkom wyrzynane, grzebienie kurze i nóżki kuropatwie... w których sama tylko imaginacja jakiegoś smaku dodawała, salaty, ogórki, musztardy i inne surowizny, które dawano do stołu do sztuki mięsa i pieczeńiów. Te nie należały do kuchni, ale do kredensu, i stawiano to na stole razem z serwisem.

(L. D.)

Rysował Janusz Smólski

STODOŁA W GÓRACH ŚWIĘTOKRZYSKICH

Wieloboczne stodoły są do dziś dnia zagadką. Różnie próbowano odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zamiast zwykłych czworobocznych sásieków mają zakończenia w formie ośmio- lub rzadziej sześcioboku. Ale niezależnie od tego jak będzie się tłumaczyć ich powstanie, na pewno są one pozostałością po jakiejś dawnej, zaginionej formie. Za największe skupisko wielobocznych stodół uważa się obszar na zachód od Krakowa i pas ciągnący się od niego w kierunku Cieszyna. Jeszcze sto lat temu były one na tym terenie zjawiskiem powszechnym a granica ich występowania sięgała dalej na wschód i północ, choć jak daleko, nie wiadomo. W każdym razie jeszcze teraz w Miechowskim i Olkuskim można natrafić na te archaiczne formy, przypominające swym wyglądem prezbiteria drewnianych kościołów. Dlatego też prawdziwym zaskoczeniem było dla mnie znalezienie sześciobocznej stodoły w Górach Świętokrzyskich.

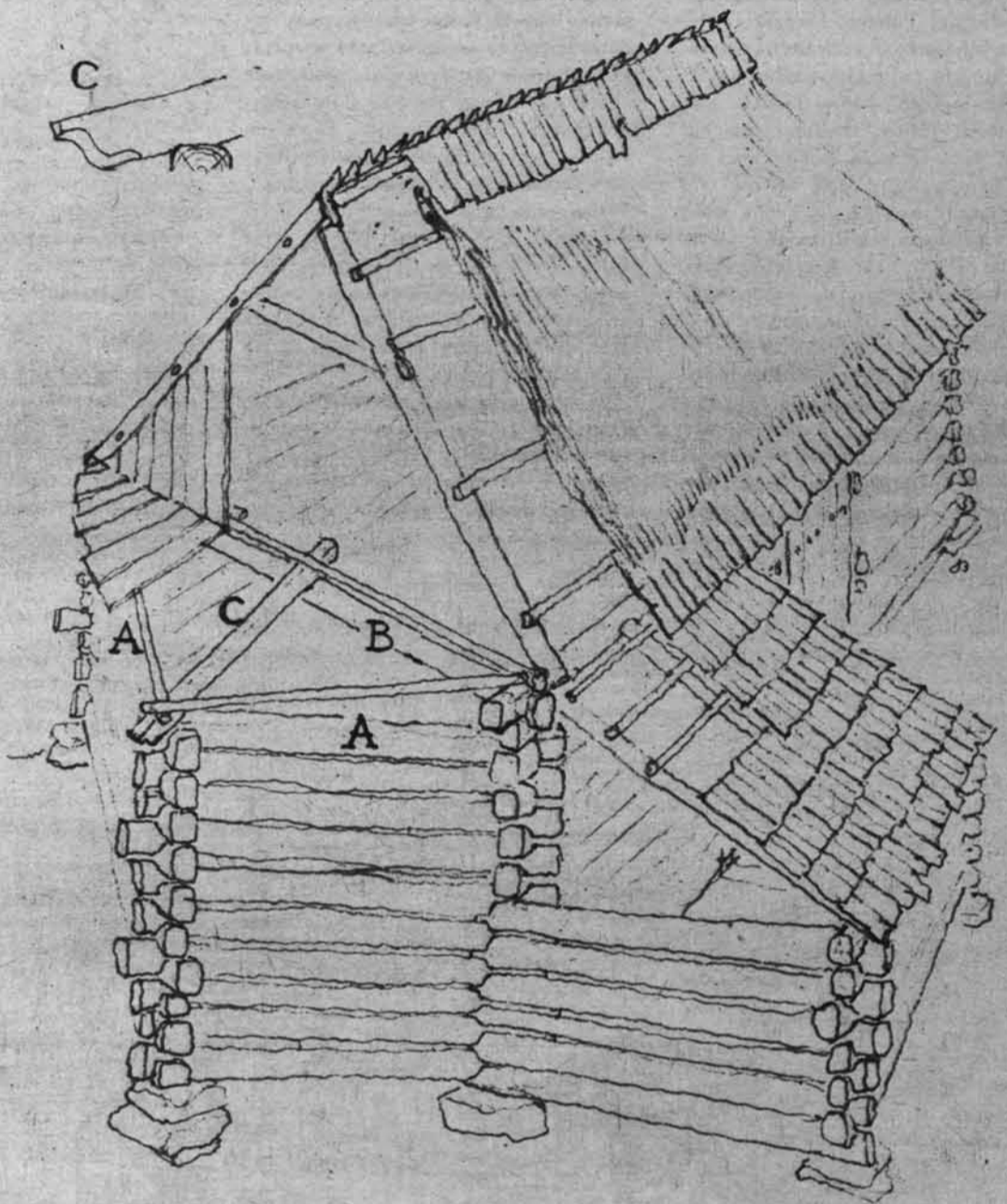
Pomiędzy doliną Lubrzanki i Bobrzy, wśród lasów Klonowych i Masłowskich Gór, leży Zagnańsk. Nie jest to jednolita wieś, a raczej zbiorowisko kilkunastu odrębnych osiedli rozrzuconych malowniczo na stokach wzgórz. Każde z nich ma osobną nazwę. Jest więc Zagnańsk Wąsosza, Stawki, Lekomin, Scieгна, Gruszka i inne. Najpiękniej położone, na leśnej polanie są Siodła i Jaworze. Są to dwie ulicówki ukryte w kotle górskim źródła Lubrzanki, otwartym szerokim widokiem na perspektywę Masłowskich Gór. Osiedla zwartą linią gontowych dachów przecinają czerwone kwarcytowe wzgórza.

W miejscu, gdzie polna droga z Siodła dobiega do zagród Jaworza, na skrzyżowaniu dróg, stoi wśród zabudowań sześcioboczna stodoła. Po domu, do którego należała, pozostała tylko sterta grubo ciosanych belek, którymi liczna rodzina dzieli się sprawiedliwie na 6 równych części. Ten sam los oczekuje właśnie również stodołę. Stoi ona na stromym stoku. Masywem nierówno ociosanych belek i bryłą przypomina drewnianą basztę. Stodoła ta ma dwa zrębowe sásieki wsparte węglami na czerwonych głazach. Sásieki dzieli boisko opatrzone wrotami na drewnianych kunach. Jeden z nich, północny, jest zwykły, prawie kwadratowy, za to południowy ma osobliwy kształt połowy sześcioboku, do którego przytyka również zrębowa komora. Dach na całości dwuspadowy, słomiany, z kalenicą i okapem umocnionym rzędami gontów, schodzących spłaszczonym przyłapem na komorę. Konstrukcja ścian i właściwego dachu jest taka jak innych tutaj stodół. Ale jest tu też osobliwość. Stanowi ją nakrycie wysuniętego wieloboku południowej ściany. Nie jest ono wykonane tak jak w innych znanych z Krakowskiego sześciobocznych stodołach. Tam wielobok ścian powtórzony jest w połaciach dachu, tutaj szczyt dachu jest płaski, obity deskami, a wielobok nakryty osobnym jednopadowym dranicowym daszkiem.

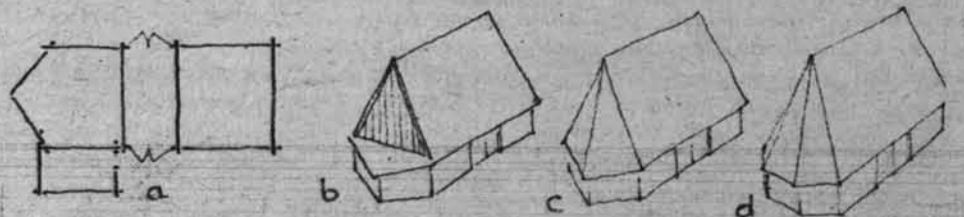
W konstrukcji dachu stodoły główną rolę odgrywa kwadratowy w planie oczep i krokiewka. Toteż w budowlu specjalnie je podkreślono, dwa naroża oczepu przez silne wysunięcie końców belek nad węglami, zaś krokiew przez ozdobne profilowanie będące jedynym elementem „rzeźbiarskim“ w całej stodole. Świadczy to o świadomości cieśli, niejako popisującego się pokonaniem przeszkody: przejścia z wielobocznego zrębu ścian w prostokątny w planie dach.

Stodoła ta, jak mówią na miejscu po kunsztownym wyliczeniu ile lat miał ojciec i dziadek, liczy około 60 lat. Budował ją stary cieśla, który takie „dziwne stodoliska“ stawiał. Było ich wtedy więcej we wsi. Ściany w nich „do szpica“ dawano od

Konstrukcja stodoły w Jaworze. Ostatni wieniec sásieka wykonano w formie kwadratu, a nie jak inne wieńce w postaci połowy sześcioboku. Tak powstał w planie trójkąt. Krótsze jego boki to wysunięte ściany wieloboku (A A) a dłuższy to belka oczepu (B). Umieszczona na tym krokiewka (C) uzupełnia konstrukcję nakrycia, rozwiązując równocześnie sprawę pochylenia daszku. Wystarczy teraz tylko żerdki do których można przybić dranice i dach gotów.



Ośmioboczna stodoła w Starej Wsi.



strony wiatru, żeby budynek mocniej stał i żeby go więcej „przewiewało“.

Wieloboczne stodoły w Górach Świętokrzyskich to sprawa niezbadana, nie wiadomo ile ich jest i gdzie występują, ale już teraz można powiedzieć, że jest to wielka rzadkość zasługująca na dużą uwagę. Warto ją więc jakoś zabezpieczyć i uchronić od rozbiórki, a co najmniej dokładnie zinventaryzować. Dobrze byłoby, gdyby zajęło się nią Muzeum Świętokrzyskie, gdyż dla dziejów budownictwa ludowego typ ten ma niepoślednie znaczenie.

J A N U S Z
BOGDANOWSKI

Rysunki i fotografie autora.

ziemia MATERIAL PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY

Schemat planu stodoły w Zagnańsku, Jaworze i typowe były stodół wielobocznych: b. jaworskiej, c. sześciobocznej i d. ośmiobocznej z Wielkiej Wsi i Starej Wsi w Krakowskim.

Pozorny paradoks: powiat kluczborski, teren o niebywałym wprost skupieniu plastyki średniowiecznej jest krainą raczej odsuniętą od artystycznych ośrodków sztuki gotyckiej, jest rezerwatem sakralnego budownictwa drewnianego powstałego na skraju wielkich puszczy, które podczas odgradzania Śląsk od dzielnic centralnych, jest wreszcie, a raczej był zwartą enklawą protestantyzmu. Więc dlaczego paradoks pozorny? Bowiem teren odległy od głównych centrów artystycznych był mniej podatny na nowinki czasów późniejszych, mocniej związany z tradycją przodków. Bowiem w drewnianych kościółkach łatwiej przechowywały się „starodawne” ołtarze i rzeźby usuwane z wielkich, dumnych kościołów miejskich. Bowiem mniej tu graszowali muzealnicy skorzy do tworzenia po piwnicach swych instytucji składów szacownych pamiątek z dawnych wieków. A że obszar bez mała w całości protestancki? Tak — to chyba najdziwniejsze, że tyle tu przetrwało Madonn i świętych. Ale ewangelicy kluczborscy byli i są bardzo liberalni. Mówił mi pastor w Kluczborku, że jego parafianie klękają w kościele i chętnie modlą się przed ołtarzami pochodzącymi z owej dawnej „papistowskiej” epoki. Charakterystyczny fakt notuje stara kronika: we wsi Gieraltowice istniała w kościele starożytna figura Panny Marii z Dzieciątkiem. Gdy w połowie w. XVI wprowadzono tu protestantyzm pastor chciał ów posąg usunąć. Aliści miejscowi chłopcy nie zgodzili się na to grożąc swemu duchownemu wcale konkretnymi karami natury cielesnej. Ostatecznie posąg znalazł się pod więz, gdzie przetrwał aż do początku ubiegłego wieku. Wówczas dopiero na wyraźny rozkaz władz zwierzchnich rzeźbę usunięto czy zniszczono. Tego czynu ówczesny pastor omal nie przypłacił życiem.

Tak więc po kościółkach kluczborskich zachowało się sporo pamiątek po okresie tak zwanej sztuki cechowej, zwłaszcza jeśli liczbę ich wzbogacimy o kilka, które znikły dopiero w ostatnich czasach. A co dziwniejsze — literatura fachowa prawie się nimi nie interesowała. Zaledwie tylko jeden tryptyk (w Bąkowie) doczekał się kilku szczegółowych omówień. A pozostałe co najwyżej wzmianek. Sporo zresztą spośród niżej omówionych zabytków było dotychczas w ogóle nieznanymi.

Najważniejsze jest jednak to, że na omawianym terenie przetrwało sporo całych tryptyków w kształcie mniej więcej takim w jakim wyszły spod dłuta i pędzla cechowego mistrza. Dziś jest ich sześć. Przed wojną było więcej przynajmniej o trzy. Jak poważną jest ta liczba niech świadczy fakt, że na całym terenie województwa krakowskiego zachowało się niewiele więcej pełnych tryptyków gotyckich.

Tak więc na przykładach, jakich dostarczają nam zabytki „kluczborskiego gotyku” możemy prześledzić niemal całą drogę rozwojową plastyki od drugiej połowy w. XIV aż po pierwsze dziesięciolecie wieku XVI. A oto najkrótszy przegląd:

TRYPTYK W BĄKOWIE jest najstarszym kompletnym tryptykiem na Śląsku. Pochodzi prawdopodobnie z jakiegoś znacznego kościoła miejskiego (może z Opola?), a przeniesiony został na swe obecne miejsce zapewne w r. 1601 (taka data wraz z herbami ówczesnych nabywców ołtarza znajduje się na predelli). Świadczy o tym sam wymiar ołtarza, który z trudem mieści się w niezbyt wielkim prezbiterium drewnianego, bardzo pięknego kościołka. To wyjątkowe dzieło rzeźby i malarstwa przynależy do tzw. kregu „Madonn na lwie” z drugiej połowy wieku XIV. Ta dziwna nazwa pochodzi od bardzo częstej w tym



KRAINA PLASTYKI GOTYCKIEJ

TADEUSZ CHRZANOWSKI

okresie rzeźby Madonny z Dzieciątkiem stojącej na lwie. Cechy tego stylu: postacie raczej przysadziste (ale to nie reguła), silnie przegięte (tak zwany kontrapost). Szaty o miękkich faldach. Ręce a zwłaszcza stopy duże, jakbyśmy dziś powiedzieli — niezgrabne. Na twarzach zastygły grymas uśmiechu.

Część środkowa tryptyku — rzeźbiona. Wypełnia ją scena koronacji Matki Boskiej. W otoczeniu dwunastu apostołów, krępych brodaczy dźwigających atrybuty — narzędzia swych męczeństw lub symbole najważniejszych cudów. Dla utrzymania równowagi na malowanych skrzydłach sekundują im święte niewiasty.

TRYPTYK W BRZEZINCE. O tym ołtarzyku nie znalazłem nigdzie wzmianki. A jest to przecież jeden z najstarszych tryptyków na Śląsku. Powstał zapewne wkrótce po r. 1400 i stanowi przeciwieństwo bąkowskiego. O ile tamten był wielkim „miejskim” ołtarzem, o tyle tryptyczek z Brzezinki to typowy ołtarz małego kościółka. Jest cały rzeźbiony. W części środkowej trzy najbardziej ulubione w średniowieczu święte: Dorota, Barbara i Katarzyna. Na skrzydłach św. Piotr i Paweł, tacy poczciwi kmiotkowie o niezbyt inteligentnych wyrazach twarzy. Tryptyk przynależy stylistycznie do okresu „Pięknych Madonn”. W wypadku tego wiejskiego ołtarzyka nie chodzi oczywiście o dosłowną urodę trzech świętych pań, lecz raczej o typowe układy szat opadających miękkimi, bujnymi kaskadami fald.

Następne tryptyki należą już do drugiej połowy wieku. Istnieją bowiem około połowy w. XV tak zwany „ciemny okres” — okres, w którym dla niewytłumaczonych przyczyn (husytyzm?) — zamiera tętno twórczości plastycznej.

TRYPTYK Z KRZYWIZNY konserwowany w r. 1939 w Nysie, nie powrócił już do kościoła. Spłonął w czasie walk 1945 roku? Został gdzieś wywieziony? Nie wiem, sam chętnie dowiedziałbym się o jego losie, zwłaszcza, że sądząc ze zdjęć należał niewątpliwie do ciekawszych kompozycji ikonograficznych: obok Madonny św. Maria Egipcjanka, unoszona przez aniołki ku niebiosom, a na skraju dwaj apostołowie: Paweł i Juda Tadeusz. Stylistycznie tryptyk przynależy do późnych lat w. XV, jednakże niezwykle tradycyjne potraktowanie apostołów umieszczonych na skrzydłach utrudnia ściślejsze datowanie. Tacy apostołowie trzymający wstęgi ze swymi imionami (swoiste bilety wizytowe) to było dobre około 1400 roku!

TRYPTYK W GOŁKOWICACH. Ten datowałbym na 60—70 lata. Szaty tu bujne, łamiące się, już nie międko, lecz sztywne i kanciaste, jak gdyby nakrochmalone. Zarazem jednak Madonna w wysokiej ażurowej koronie owiana nastrojem zadumy i piękna. Po bokach św. Piotr i Paweł rozważni, brodaci wujaszkwowie. Oto i ulubiony w tym okresie schemat tzw. Świętej Rozmowy (Santa Conversatione).

Ten sam układ powtarza się w dużym **TRYPTYKU W ROŻNOWIE.** Szaty jeszcze bujniejsze, ale Madonna już nie tak piękna — teraz staje się tylko zażywną mieszczką z końca XV wieku ukazującą z dumą swe zdrowe, pulchne Dzieciątko. Na skrzydłach — parami — święci i święte. Za to predella śliczna — popiersia wspaniałych starców wykonane z dużą maestrią.

Dwa dalsze tryptyki powstały około 1550 roku. Oba „niewieście”. Oba rzeźbione z malowanymi skrzydłami. Zwłaszcza ten z **WOJŚLAWIC** (zaginiony niestety w podobnych okolicznościach jak tryptyk z Krzywizny). Nie tylko „Santa Conversatione” toczy się wśród pań, ale i na skrzydłach rozsiadły się w kłębach bogatych szat dalsze cztery święte.

PARUSZOWICE. Gotycka, kamienna kaplica. W środku kilka ław i tryptyk. Cudo nie tryptyk. Madonna w glorii i cztery maleńkie święte. Na skrzydłach zaś cztery sceny z życia Marii: malowane subtelnie z tą wzruszającą troską o szczegóły, oczywiście o te szczegóły, które są ważne, które się liczą w narracji. Równie piękna predella z Chrystusem ukazującym swe rany i dwoma aniołami.

TRYPTYK W KOSTOWIE jest datowany. Pochodzi z r. 1519. Rzeźbiona część środkowa niezbyt wysokiej rangi artystycznej: figury sztywne, dosłownie i przenośnie drewniane. Za to malowane skrzydła świetne. Zarówno dwaj święci Janowie na awersach jak i św. Piotr i Paweł na rewersach. Nieco zdeformowani, nieco dürerowcy, brzydki, pełni wyrazu, scharakteryzowani niemal karykaturalnie ale przekonująco.

I jeszcze jeden **TRYPTYK Z KRZYWIZNY.** Również nie znajdujący się już w kościele (był na wystawie w r. 1926 we Wrocławiu i tam pewnie został). W odróżnieniu od poprzednich całkowicie malowany, lecz niezbyt wysokiej klasy.

A teraz kilka słów o niektórych ciekawszych, pojedynczych rzeźbach. Wszystko (za wyjątkiem krucyfiksu w Byczynie) nie znane, nie uwzględnione w żadnej literaturze. Do stylu „pięknych Madonn” z pocz. XV w. przynależy maleńka rzeźba z Wierzbicy Górnej: Matka Boska oplakująca Chrystusa czyli tzw. Pietà. Rzeźba... hm — właściwie trudno ją scharakteryzować, gdyż oklejona grubymi warstwami niezgrabnych nowszych przemalowań sugeruje tylko delikatność wykonania.

Wyjątkowym wprost zespołem są trzy, sporych wymiarów posągi w zupełnie nowym (i nie poprzedzonym starszym) kościele w Kraskowie. Skąd się tam wzięły nie udało się ustalić. Są to: Madonna z Dzieciątkiem, św. Anna Samotrzecia i św. Jadwiga Śląska. Madonna z lat siedemdziesiątych XV wieku w swej wysokiej ażurowej koronie, wiotko przegięta i owiana czarem zadumy, zachowała (podobnie jak Madonna w tryptyku z Gólkowic) wiele z wdzięku i delikatności „Pięknych Madonn”. Z tegoż czasu pochodzi zapewne św. Anna Samotrzecia — typowe średniowieczne przedstawienie, w którym córka i wnuk świętej wyglądają jak para dzieci igrających na ramionach babci-olbrzymki. I wreszcie św. Jadwiga, późniejsza o kilkanaście lub kilkadziesiąt lat od poprzednich, trzymająca model (oczywiście niezbyt wierny) kościoła w Trzebnicy. Szaty w ciężkich, „nakrochmalonych” zwojach układają się wokół postaci. Spód grubych kwefów wygląda twarz księżnej śląskiej modelowana niezwykle subtelnie i szlachetnie — trochę płasi profil — damy i zakonnicy.

Spśród sporej liczby gotyckich krucyfiksów chciałbym jeszcze wspomnieć o dwóch, szczególnie dla mnie interesujących ze względu na swą ludowość. Pierwszy z nich — w Wierzbicy Górnej — stylistycznie nawiązujący do początku XV w. odznacza się niezwykle ekspresyjnie ukształtowaną głową, nadmiernie dużą, długą, pełną wyrazu bardziej może znuzenia niż cierpienia. Drugi krucyfiks — w Jakubowicach — to już całkowicie kapliczkowy świątek, zgeometryzowany, uproszczony, a przez to w pewnym sensie zmonumentalizowany. Jedyne dwa chude festoniki po bokach perizonium (przepaska biodrowa) mówią o tradycjach 1400 roku — z których wyrosła rzeźba. Oczywiście datowanie tych rzeźb następcza poważne trudności. Mogą pochodzić równie dobrze z XV jak i z XVII lub XVIII wieku. Niemniej są gotyckie, są odzwierciedleniem upodobań i tradycji artystycznej mieszkających w tej kluczborskiej — ziem drewnianych kościółków i średniowiecznej plastyki.

TADEUSZ CHRZANOWSKI
 KRAINA
 PLASTYKI
 GOTYCKIEJ



Brzezinka, tryptyk
 z początku XV wieku.

Wojślawice, pow. kluczborski
 tryptyk gotycki (ok. r. 1500.)



Paruszowice, pow. kluczborski
 tryptyk z końca XV wieku.

Wierzbica Dolna go-
 tycki krucyfiks.

Krasków, fragment
 rzeźby Madonny.

Krasków, fragment
 rzeźby św. Jadwigi





Szywałd, pow. kluczborski, tryptyk gotycki, stan po restauracji.

Rożnów, tryptyk z końca XV wieku.



Wierzbica Dolna Pietà, ok. r. 1410.

Rożnów, fragment skrzydeł tryptychu.

Baków pow. kluczborski tryptyk, część środkowa.

JELENIĘ

TEKST
ANDRZEJ
ŁASZCZYŃSKI



Krok za krokiem dążą naprzeciw siebie dwa samce, aż nagle potężny sus i polana rozbrzmiewa suchym klekotem rogów. Gdy te splątają się, byki gwałtownymi ruchami głowy starają się ze splotu uwolnić. Zwinniejszy może wówczas wymierzyć decydujący cios w odsłonięty bok przeciwnika. Czasami jednak żadnemu z walczących zwierząt nie udaje się ten manewr i wtedy bój trwa tak długo póki jedno z nich wyczerpane nie umknie. Zwycięzca z zasady nie ściga uchodzącego rywala, strzegąc stada łań przed najściem nowego intruza.

Do walk jelenich w porze rykowiska dochodzi rzadziej niż to się naogół przypuszcza. Przeważnie rzecz kończy się na groźnej demonstracji, której rezultatem jest wycofanie się jednego z rywali. Toteż zaobserwowanie takiego starcia daje nie lada satysfakcję. Wymaga to jednak dużej zręczności i umiejętności bezszelestnego poruszania się wśród lasu. Wędrując tedy nocą z początkiem września poprzez lasy Gór Świętokrzyskich, Tatr, lub Bieszczadów, ostrożnie i cicho przechodzimy leśnymi polanami. Nietrudno nam będzie wówczas usłyszeć potężny metaliczny ryk brzmiący nocą w leśnej głuszy. Napędził on już nieraz tęgiego stracha mniej doświadczonym turystom. Tymczasem zwierzę, które go wydaje samo jest niezwykle płochliwe i trudno je podejść z bliska. Jeśli jednak mamy dobrą lornetkę i zdecydujemy się na nocną wędrowkę poprzez górskie lasy, to przy zachowaniu ostrożności uda nam się zmylić czujność jelenia. Wieczorem nad słuchując szukamy rykowiska a następnie ruszamy, bacząc by posuwać się stale pod wiatr. Najlepiej wybierać się w jasne, bezchmurne noce. Widok rosnącego byka stojącego na leśnej polanie wśród mgieł przedświtów to wrażenie niezapomniane. Jeleń nim wyda ryk unosi łeb ku górze i otwarty pysk dokonuje kilku wydechów. Poznać to po otaczających mu nozdrza kłębach pary. Ryk ma wobec rywali demonstrować siłę zwierzęcia. Im większy i mocniejszy jeleń, tym donośniej ryczy. Toteż niejednokrotnie słabsi przeciwnicy już z góry rezygnują ze spotkania z potężnym okazem.

Dorodny jeleń-byk wielkością dorównuje mniej więcej górskiemu konikowi. Jest jednak odeń nieco smuklejszy. Z karku sterczy mu długa ciemnobrunatna grzywa. U lani jest ona znacznie krótsza. Sierść, czyli tzw. w języku myśliwych „suknia”, latem ma odcień brunatnoceglasty, zimą bardziej szary.

Na przełomie maja i czerwca lania wydaje na świat jedno cielę, które już po paru dniach może zupełnie swobodnie biegać za matką. Byk co roku, w czas jakiś po okresie rykowiska zrzuca swe poroże. U młodych jelenków pod koniec pierwszego roku życia wyrastają z pokrytych delikatną włósną skórą guzów kostnych na czole tzw. pnie, porośnięte włosami. Z nich to co roku wyrastają tyki poroża. Początkowo delikatne i miękkie, twardeją w ciągu lata. Powszechnie utrzymujące się mniemanie, że ilość odnóg poroża określa dokładnie wiek jelenia jest w rzeczywistości niezupełnie słuszne. Ilość odnóg pozwala jedynie na obliczenie w przybliżeniu wieku zwierzęcia. I tak np. „spiczak”, czyli jeleń o pojedynczych odnogach może mieć dwa lata. „Widłak” (z podwójnymi odnogami poroży) — trzy, cztery, a nawet pięć lat, itd. Jeleń o 26 odnogach na każdej tyce jest już rzadkością, choć





Wiesław Krawczyński wspomina o okazach, które posiadały wieńce z 28 a nawet 66 odnogami! Jeleń żyje około 40 lat, co w stosunku do innych ssaków jest wiekiem dość sędziwym. Dla polujących na to zwierzę myśliwych, nie tylko poroże stanowi cenne trofeum. Poszukiwaną przez nich pamiątką łowieckich przewag są również kły jelenie wyrastające zarówno samcom jak i samicom z górnej szczęki.

Pokarmów dostarcza jeleniowi nie tylko las ale i leżące w pobliżu pola uprawne, gdzie zwierzę to spasa zboża i rośliny motylkowe. W lesie jelenie żywią się nie tylko trawą, owocami i młodymi liśćmi, ale również chętnie grzybami i to nawet gatunkami trującymi dla człowieka. Zimą zwierzęta obgryzają korę drzewną, najchętniej wierzbową i osikową. Jednakże w braku tych gatunków drzew nie gardzą inną, świerkową, olchową lub brzożową. Toteż — by uniknąć szkód w drzewostanie — leśnicy urządzają dla jeleni zimowe paśniki z pożywieniem. Nierzaz też zimą właśnie przy takim paśniku można to zwierzę stosunkowo łatwo zaobserwować.

Jeleń znajduje się nie tylko pod ochroną ale również — jak widzimy — czyni się wysiłki aby mu ułatwić zimą pobyt w lasach. Jaki jest jednak cel ochrony tego zwierzęcia? Czy po to tylko by w dozwolonym ustawą łowiecką okresie dostarczyć myśliwemu łowieckiej rozrywki? W istocie nie tylko troska o myśliwych skłania nas do ochrony jeleni. Zwierzę to odgrywa niewątpliwie określoną rolę w przyrodniczym środowisku naszych lasów. Wytepienie go naruszyłoby równowagę biologiczną tego środowiska i pociągnęłoby za sobą negatywne skutki. Dzieje naszego kraju znają szereg takich przykładów wyniszczenia pewnych gatunków zwierząt, czego przykre konsekwencje nie dały na siebie długo czekać.

Na zakończenie kilka praktycznych uwag dla amatorów odczytywania tropów. Trop jeleni kształtem przypomina odcisk krowiej racicy, lecz jest od niej mniejszy. W wypadku gdy mamy do czynienia z tropem jaki pozostawił sadzący susami samiec, po obu stronach odcisku racicy widać dwa niewielkie dolki po tzw. w gwarze myśliwych „spilach”. Ślad jeleni rysuje się wyraźnie, gdyż waga dorosłego jelenia jest dość znaczna. Waha się od 150 do 250 kilogramów.

FOTOGRAFIE JANUSZ CZECZ



KONSTANTY STECKI SEN.

Wielokrotnie wzmiankowano w czasopiśmie zachowane jeszcze zabytki w hutnictwie w Zagłębiu Staropolskim, poświęcono im niejedną obszerną pracę naukową. Natomiast o nie tak dawno zamarym ośrodku przemysłowym w Kuźnicach wciąż jeszcze brak wielu materiałów, które mogłyby pomóc w obszerniejszym opracowaniu tematu.

Jak wiadomo Kuźnice Zakopiańskie zawdzięczają nazwę swą hutom żelaza, które istniały tu do 1878 roku. Były one wtedy ożywioną i ludną osadą górniczą, a Zakopane mało znaną, zapadłą wioską góralską. Do Kuźnic wiodła dobrze utrzymana droga z Kościelisk, tzw. „żelazna droga”. Jest to dzisiejsza „droga pod regłami”. Podobnie i z gór, od Kopy Magóry przez Jaworzynkę i Boczań szły drogi górnicze, którymi zwożono rudę żelazną. Piece hutnicze były w samych Kuźnicach nieco poniżej obecnej stacji kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Jeszcze niedawno widniały tam hałdy szlaki, pochodzącej z przetopionej rudy. Młoty, tzw. hamry, bijące surówkę, stały pod Krokwią w miejscu, gdzie „droga pod regłami” wychodzi na szosę kórnicką. Pracujących przy młotach zwano „hamernikami”. Do dziś gó-

rale w swej znanej powszechnie śpiewce wspominają o tańcach hamernickich.

Hutnictwo tatrzańskie pozostawało w ścisłym związku z górnictwem. Najstarszy dokument, który mówi o istniejących i prosperujących kopalniach srebra w Tatrach, pochodzi z 1495 roku, a więc z czasów panowania Jana Olbrachta. Następca jego, Aleksander Jagiellończyk, żywo interesował się i popierał prace górnicze w Tatrach. Za jego panowania dobywano srebro i miedź w Ornaku w 1502 i 1503 roku. Za panowania Zygmunta Starego kopano złoto w Krywanii, czynne były również kopalnie srebra i miedzi w Ornaku, w Banistem, w Starej Robocie, na Pyszej w miejscu zwanym „na Kunsztach” (kunszt = instalacje górnicze kopalni). Roboty te prowadzono w latach 1536 i 1537. W XVII wieku znany zatarg, jaki się toczył o kopalnię tatrzańskie miedzy dawnym ich dzierżawcą, Witowskim, a starostą nowotarskim Mikołajem Komorowskim, który w 1624 r. otrzymał przywilej na prowadzenie hut żelaznych z wyłączeniem kopalni złota, miedzi i ołowiu. Za Stanisława Augusta kopalnie w Ornaku znajdujemy zrazu zarzucone. W 1765 roku z inicjatywy

OSTATNI MŁOT HUTNICZY W KUŹNICACH

Komisji Skarbowej roboty te podjęto na nowo. Ostatni starosta nowotarski, Franciszek Rychter, przypisywał sobie założenie hut w Kuźnicach. Istotnie przy-

znać mu należy, że dzięki jego staraniom około roku 1757 Kuźnice podniosły się i rozwinęły znacznie, tak że dochód z nich wynosił 1700 złp. Po roz-

Ciąg dalszy na str. 21



WIEŚ WYJĄTKOWA

ziemia MATERIAŁ PUBLIKOWANY PO RAZ PIERWSZY



NAPISAŁ MARIAN KORNECKI • BRZESKO PYRZYCKIE

Kilka kilometrów od Pyrzyc, na południe od szosy wiodącej do Choszczona — widnieje wieś, usytuowana na stoku niewielkiego wzniesienia. Z daleka przedstawia się jako kępa zieleni i dość zwarta grupa zabudowań, ponad którą rysuje się dzwonnica kościelna. Ale warto poznać Brzesko dokładnie.

Oto droga wprowadza w obszerne wiejskie założenia urbanistyczne, noszące wyraźne piętno układu owalnicowego, sięgającego być może jeszcze XII wieku (z r. 1186 pochodzi najdawniejsza wzmianka o Brzesku wymienionym w akcie darowizny księcia Bogusława I). Centrum układu przestrzennego, a zarazem najwyższy punkt wzniesienia zajmuje kościół, jedna zaś z ulic, stanowiąca obecnie główną oś komunikacyjną wsi, zachowała wyjątkową dawną zabudowę. Na przestrzeni paruset metrów ciągnie się nieprzerwany szereg zagród ze starymi domami szachulcowymi, zwróconym szczytem do drogi. Budynki okazałe, szeroko rozsiadłe, kryte strzechą, piętrzące się malowniczo w otocze-

niu zieleni — reprezentują świetny zespół zabudowy. Warto też poświęcić im baczną uwagę, są to bowiem chyba ostatnie przykłady tzw. w literaturze fachowej „domów pyrzyckich”.

Układ poszczególnych domów przedstawia się interesująco: Wejścia znajdują się pośrodku elewacji frontowej, układ pomieszczeń dwutraktowy z sienią przez środek i pierwotnie tzw. „czarną kuchnią” w głębi. Owa, „czarna kuchnia”, dziś już przeważnie nie zachowana, to pomieszczenie pozbawione okien o ścianach murowanych, zewszających się ku górze i przechodzących w komin. Tylna część budynku zawiera pod wspólnym dachem stajnię i pomieszczenia gospodarcze. Na zewnątrz w konstrukcji szachulcowej niektórych domów zachowały się belki i gzymsy profilowane lub fazowane, a istniejące tu i ówdzie w szczytach „pazdury” i stara stolarka okienna i drzwiowa — uzupełniają dekorację. Najstarsze domostwa sięgają podobno XVII wieku. Całość, mimo różnych przebudowywań

posiada wybitną wartość zabytkową.

Kościół, chociaż na pierwszy rzut oka z zewnątrz przedstawia się niepozornie, również jest ważnym zabytkiem. Ta prostokątna budowla przedgotycka z XIII wieku, wzniesiona jest z kostek granitowych zgrubszą obróbką (granit ten, pochodzenia południowego należał do charakterystycznego materiału budowlanego regionu). W bocznej elewacji zachował się portal ostrołukowy, od wschodu szczyt o skromnej dekoracji z blend, wreszcie widoczne spod późniejszych tynków ślady wyprawy renesansowej z resztkami dekoracji sgrafitowej. Osobliwość zaś wysokiej klasy w skali ogólnokrajowej stanowi zachowane we wnętrzu fantazyjne pozornie sklepienie z nadwieszonymi rzeźbionymi szyszkami i bogatą dekoracją malarską o motywach roślinnych i figuralnych. Niemiecki napis głosił, że tą jedyną w swoim rodzaju dekorację wykonał Michał Pahl „Mühlenbursch”, a więc młynarczyk, odznaczający się nie byle jakim talentem i umięjętno-

ściami artystycznymi. Obok mieściła się tarcza herbowa, na której widniały: koło zębate, lopata, młot i cyrkiel, podtrzymywana przez postać chłopięcą; jego twarz uchodziła niegdyś w tradycji miejscowej ludności za autoportret mistrza. Nie byłoby to całkiem nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę tradycję snycerskie trwające wśród ludności regionu pyrzyckiego jeszcze w XIX wieku.

Altarz stanowi również niezwykle atrakcyjny obiekt, zwłaszcza dla historyka sztuki: Jest to późnogotycki tryptyk rzeźbiony z postaciami Matki Boskiej, czterech Świętych Dziewic i dwunastu Apostołów, ujęty snycerskim obramieniem w typie północnego renesansu, z predellą ze sceną Ostatniej Wieczerzy i bogato dekorowanym zwieńczeniem z płaskorzeźbą Zmartwychwstania. Mimo różnic stylowych całość uchodzi za jednoczesne dzieło z r. 1613, o czym dowodzić miał napis umieszczony na szacie Madonny. Byłby to więc cenny przykład trwania form stylu go-



BRZESKO



tyckiego aż po wiek XVII, jednak w tym wypadku trudno się z tym zgodzić, z uwagi na wyraźne cechy stylowe z początku XVI wieku, występujące przy rzeźbach tryptyku i ich zasadniczo odmienny charakter od reszty siedemnastowiecznych rzeźb. „Lamiłówkę” brzeskiego ołtarza pogłębia umieszczony na szczycie ołtarza wczesnogotycki krucyfiks, dzieło zapewne z ok. 1400 roku. Odwrotne zaś strony skrzydeł z malowanymi scenami Męki Pańskiej, jak też polichromia tyłu retabulum — są autorzowanym dziełem Michała Haentza, malarza z Choszczna (1613 r.). Wypożyczenie wnętrza kościoła dopełnia renesansowa ambona z 1612 roku.

Wyjątkowy zespół zabytkowy w Brzesku pyrzyckim zasługuje na szczególne opracowanie i troskliwą opiekę. Całość — o ile tego dotąd nie uczyniono — winna być uznana za zabytek i objęta ochroną prawną.

Historycy sztuki, architekci, etnografowie i konserwatorzy — przyjeżdżając do Brzeska: badać, inwentaryzować, fotografować. I remontować, póki jeszcze stare domy stoją, bo stan ich nie jest najlepszy.

KONSTANTY STECKI sen · OSTATNI MŁOT HUTNICZY W KUŹNICACH · DOKOŃCZENIE ZE STR. 19

biorze Polski przechodzą w posiadanie rządu austriackiego. W roku 1791 podupadają. Ożywia się ich działalność pod rządami Reichersdorfera, rządcy salin bocheńskich.

W roku 1794 zostają spalone przez zbójników, a urzędnicy obrabowani. Zaczyna już wtedy brąknąć ruda. W 1804 r. kupuje je Blutowski a w r. 1896 Jan Homolacz. Jest tu wtedy jeden piec i dwie „fryszkerki”. Kuźnice ciągle prosperują słabo — brak rudy. W latach 1814—1817 odkryto pokłady rudy w Magórze. Rozszerzone przez Edwarda Homolacza Kuźnice w 1834 r. wyrabiają tygodniowo 230—275 cetnarów żelaza, przerabiając je na sztaby, blachy, wyroby ślusarskie, gwoździe, przedmioty lanc: świeczniki, ozdoby do pieców itp. Zatrudniają stale 540 ludzi. Po wyczer-

paniu rudy, którą czas jakiś dowożą jeszcze „z Węgier”, głównie ze Swierżan, znów podupadają, aż zamierają ostatecznie w latach 1870—1878. Pozostały do niedawna resztki budynków, stosy żużli z pieców hutniczych, nazwa Kuźnic czyli Hamrów, parę zabytków w muzeum i wspomnienia o ostatnich inwalidach pracy hamerskiej.

Ostatni młot do kucia żelaza przeniesiono w górę, powyżej kamiennego progu zaporowego na potoku. Ustawiony na młynówce zdegradowany został do funkcji tłuczenia żużli i kamieni na szosy i betonowe roboty. Zwykły to los przeżywających się urządzeń: schodzą do roli bardziej podrzędnej. Młot ten przetrwał do 1920 roku i wtedy wraz z częściami żelaznymi spalonej na parę lat przed wojną papierni, został rozebrany

i sprzedany do fabryki Zieleniewskiego w Krakowie.

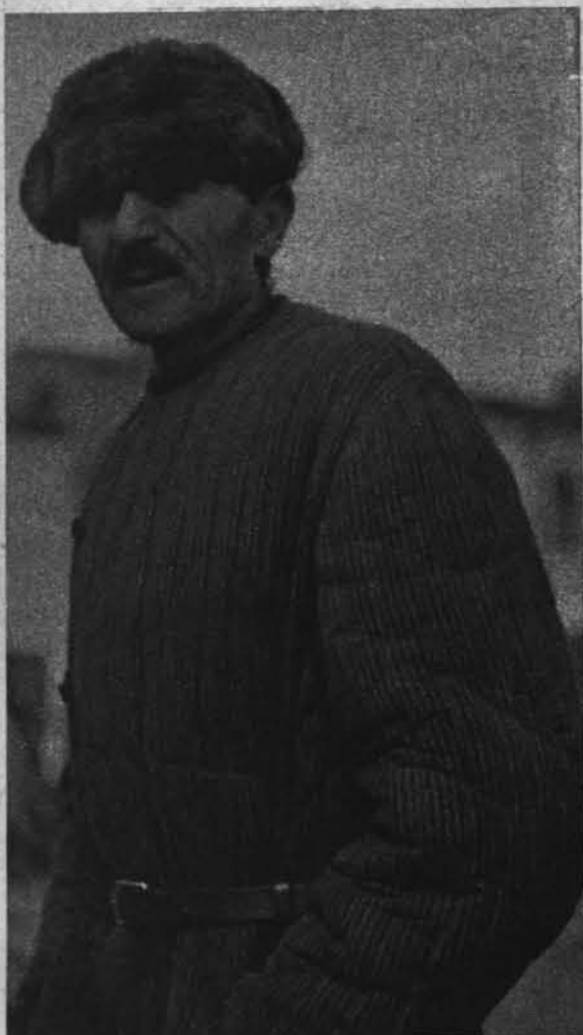
Urządzenie tego młota było bardzo proste. Koło drewniane, jak w młynach, poruszała woda. Na przedłużonej jego osi osadzone było mniejsze koło żelazne z kilkoma wielkimi trybami. Te zaczepiają koniec potężnego trzonu, który jak dźwignia dwuramienna podnosi przeszło półmetrowy młot, spadający własnym ciężarem na żelazne kowadło wprawione w spięty obręczą pień drewniany.

Reprodukowane zdjęcia młota kuźniczego, a także i drugie podobne zamieszczone przez mnie wraz z opisem w I tomie „Wierchów” w 1923 roku są jedynymi ilustracjami dokumentami, jakie pozostały po tym relikwie tatrzańskiego przemysłu.

Młot „Anna” w Kuźnicach, nieistniejący już, wg rys. St. Witkiewicza.



GDZIE APOLLO SWE DARY



Obecny widok oficyny pałacowej od strony łąk, fot. M. Kurzątkowski.



Kock doby Oświecenia. Pałac księżny Jabłonowskiej wg ryciny Z. Vogla.



Dwa były w historii Kocka — dziś małego miasteczka w północnej części województwa lubelskiego — okresy świetności: renesansowy w XVI i XVII wieku, kiedy to miasto było własnością słynnych Firlejów, i drugi, pod twardymi rządami Kobięcej ręki Anny księżny Jabłonowskiej w czasach Oświecenia.

Pierwszy okres świetności zamyka data 1648, kiedy to Kock wraz z kościołem, zamkiem i mieszczącą się w nim biblioteką, zostaje zniszczony przez wojska Chmielnickiego. Pozostała jedynie kaplica kalwińska, obecnie włączona w pomieszczenia mieszkalne plebanii. Jest to wolnostojąca budowla wzniesiona na planie kwadratu, nakryta kopułą i dachem czterosпадowym. Wnętrze zdobią stiukowe listwy o układzie sferycznym, w pendentywach ułożone na kształt serca. Kompozycja sieci sztukateryjnej oraz motywy zdobnicze mają cechy wspólne z dekoracją późnorenansowych kościołów tzw. „typu lubelskiego”, powstających licznie w pierwszej połowie XVII w.

OBLĘŻENIE SPIŻARNI

Przez następne blisko półtora wieku Kock często zmienia właścicieli i jest widownią gwałtownych sporów spadkowych, a nawet formalnego oblężenia. Miało ono miejsce w roku 1663, gdy po śmierci bezdziejnej Elżbiety Firlejówny, mąż jej, Kochanowski z Policznej, ociągał się z oddaniem Kocka prawowitym spadkobiercom. Korzystając z wyjazdu Kochanowskiego z Kocka, który pozostawił on pod opieką swej matki, jeden z pretendentów do spadku, Andrzej Firlej, przybył pod zamek z pięćdziesięcioma „drabami” i otoczył go, usiłując wziąć głodem. Po pewnym czasie Andrzej zastąpił Stanisław Amor Tarnowski, który tu przybył wraz z żoną Firlejówną. Nie mogąc doczekać się głodu w zamku postanowił wykraść zapasy z spiżarni zamkowej. Czy przedsięwzięcie to uwieńczone zostało powodzeniem — nie wiadomo. W każdym razie po powrocie Kochanowskiego do Kocka doszło do ugody między stronami, w ostatecznym wyniku której Firlej i Tarnowski sprzedali mu swe prawa do miasta i dóbr okolicznych. Zadłużony Kochanowski zrezygnował jednak w końcu z Kocka na rzecz swych wierzycieli Wielopolskich, od których drogą koligacji dobra te przeszły na Sapiehów, by wreszcie stać się własnością Anny z Sapiehów Jabłonowskiej.

RZĄDY NIEMODNEJ WDOWY

„...Wdowa, a nie modna, z wzgórzem Warszawy
Zamiast gotowalniczej istotnej zabawy
Podłą się bawi pracą, śmie myśleć o roli,
I wśród kmiotków swoich bardziej mieszkać woli,
Niż błyszczeć na wielkim świecie...”

Tak scharakteryzował „panią na Kocku i Siemiatyczach” Ignacy Krasicki. Córka generała artylerii litewskiej, Kazimierza Karola Sapiehy i Karoliny

księżny Radziwiłłowej, po śmierci swego męża Jana Kajetana Jabłonowskiego, wojewody braclawskiego, obejmuje w posiadanie dobra bardzo rozległe, lecz jeszcze bardziej zadłużone (na samym kluczu kockim ciążyło 600 tysięcy złotych).

Księżna podjęła się beznadziejnego niemal zadania uporządkowania interesów. Drogą do realizacji celu miało być wprowadzenie racjonalnej gospodarki oraz zorganizowanie sprawnej administracji, trzymanej w żelaznej dyscyplinie. Dyscyplinie tej podlegali zresztą wszyscy poddani w dobrach księżny, a jej przepisy wnikały nawet w sprawy ubioru włościan i mieszczan.

Zasady gospodarowania, obowiązki urzędników i poddanych określone zostały w ośmiotomowym dziele: „Ustawy powszechne dla dóbr moich rządów”, których pierwsze wydanie ukazało się w nadwornej drukarni księżny w Siemiatyczach w r. 1783.

Wojewodzina braclawska przejawiała też zainteresowania polityczne w okresie konfederacji barskiej, organizując między innymi zjazdy w Kocku i Kukizowie, pod konspiracyjnym pseudonimem „Madame de Barez”.

W samym Kocku podobnie — jak i w innych miastach — zaprowadziła księżna przede wszystkim nowy ustrój. Władze miejskie składały się z mianowanych dożywotnio: landwójta i pisarza oraz obieralnych: 4 burmistrzów, 4 ławników, zarządcy gminy, starszego rzemieślników i kasjera miejskiego.

KOCK ZMIENIA OBLICZE

Zmienia się też wygląd zewnętrzny miasta. Regulacji sieci ulic oraz wzniesienia nowych budowli dokonuje się zgodnie z zasadami urbanistyki okresu Oświecenia. Ośrodek stanowi rozległy, o wymiarach 120×116 m rynek, otoczony nowymi monumentalnymi gmachami. Zabudowa zgrupowana jest na północ i zachód od rynku — tak, że plan mia-



KRAJOWI ROZDAWAŁ

sta w ogólnym zarysie zbliżony jest do odwróconej litery L. W sieci drożnej dominują ulice prowadzące ku rynkowi lub do nich równoległe.

Pierwotny wygląd rynku znamy jedynie z widoków Zygmunta Vogla z roku 1794 i planów z pierwszej połowy XIX w. Posiadał on dwie dominanty — w pierzei południowej kościół, a w zachodniej centralną część ratusza. Budowle te posiadały prawdopodobnie odpowiedniki w przeciwległych połaciach rynkowych.

Ratusz zajmował całą pierzeję placu. Składał się on z piętrowego budynku zwieńczonego wieżą i klasycystycznym hełmem oraz przylegających doń z obu stron parterowych skrzydeł. W budynku centralnym znajdowały się pomieszczenia władz miejskich, zaś w skrzydłach — sklepy i kramy. Boniowane mury małej kamieniczki w zachodniej pierzei rynku są dziś jedyną pozostałością dawnego ratusza.

Dominantę połaci południowej stanowi do dziś kościół z dwoma flankującymi go niskimi dzwoniczami. Niegdyś w pierzei tej znajdowały się jeszcze dwa symetrycznie rozmieszczone parterowe budynki z ryzalitami na osiach.

Konsekracji kościoła dokonano w 1805 r. W XIX w. nastąpiła jego nieznaczna przebudowa. Zewnętrzna architektura kościoła wzorowana jest na świątyni antycznej. Nad frontonem wznosiła się niczniejszą dziś czworoboczna wieżyczka. Obszerne jednonawowe wnętrze kościoła, z niewiele węższym od nawy prezbiterium, posiada bardzo świecki charakter i przypomina raczej klasycystyczne salę balowe.

Cała zabudowa rynku utrzymana jest w jednolitym charakterze i nosi piętno głęboko przemyślanej koncepcji architektonicznej. Pewne elementy i detale wspólne są wszystkim otaczającym plac budowlom. Można przypuszczać, że rozwiązanie całego placu jest dziełem Szymona Bogumiła Zuga, któremu przypisywany jest kościół i ratusz kocki.

REZYDENCJA KSIĘŻNEJ

Pałac, park i zabudowania gospodarcze usytuowane na południe od miasta stanowią własny zamknięty zespół. Prowadziły doń dwie ulice: jedna wybiegająca ukośnie z rynku, druga wiodąca z traktu warszawskiego. Spotykały się one na owalnym placu otoczonym budynkami gospodarczymi. Główna oś pałacu i dziedzińca honorowego przebiega przez środek tego placu — „majdanu”.

Z „majdanu” na dziedzińiec honorowy wjazd prowadzi przerzuconym nad fosą murowanym mostem, za którym wjazdu strzegły dwa sfinksy kamienne, przeniesione dziś do parku. Sam dziedzińiec okalają trzy budynki — pawi-

lon główny pałacu oraz dwie oficyny połączone z nim półkolistymi pergolami.

Obecny wygląd nadała pałacowi prawdopodobnie przebudowa dokonana w r. 1832, upraszczająca pierwotną architekturę z czasów Jabłonowskiej. Z tamtego okresu pozostały jedynie piętrowe mury z czterokolumnowym portykiem od frontu i dwoma mało wydatnymi ryzalitami bocznymi. Dawny wyniosły dach lamany, stanowiący bardzo istotny element w bryle pałacu zamieniony został na zwykły czterospadowy. Znikły też balustradowe attyki wieńczące ryzalidy pałacu i szczegóły zwieńczenia nad frontonem portyku.

Oficyny, każda o odmiennych podziałach, wskazujących na różny czas ich powstania, nakrywają do dziś dachy lamane. Wnętrza pałacu zachowały częściowo stiukowe dekoracje oraz koliste piece klasycystyczne.

POKÓJ W OGRODZIE

Z tarasu za pałacem roztacza się rozległy, piękny widok na podzielone groblami stawy i łąki w nadwiprzańskiej dolinie, oraz słynny niegdyś park. Dziś swym przetrzebionym drzewostanem oraz nikłymi zarysami alej nie daje pojęcia o dawnej świetności. Niegdyś otaczał on cały zespół pałacowy. W „dzikiej promenadzie” znajdowała się klatka z sieci moczonych w piasku i smole „jak mały pokój w ogrodzie, obejmująca krzewy naturalnie rosnące, napelniona różnego gatunku ptactwem”, przeznaczonym na okres chłódów i mrozów do zimowego ogrodu. Od frontu, w fosie, u podnóża muru oporowego pod klasycznym portykiem znajdowały się umieszczone w półkolistych niszach źródła i miejsca odpoczynku. Małe, sklepione pomieszczenia pod mostem zdobione były polichromiami, których nikle ślady zachowały się do dziś. Wprost do tych salek wiodły aleje z parku.

Systematyczna Anna Jabłonowska określiła w specjalnym dziele obowiązki ogrodników. „Porządek robót miesięcznych ogrodnika na cały rok wypisany i na miesiące podzielony” uważany jest za dziewiąty tom „Ustaw”. Wymienia on 590 roślin, znajdujących się w ogrodzie kockim.

Na niczym spełzły ekonomiczne wysiłki Anny Jabłonowskiej. Nie udało się wydobyć z długów obciążonych dóbr. Nie pomogła nawet zaciągnięta na ten cel pożyczka holenderska. Zmarła Księżna Pani w roku 1800, w zupełnym niemal zapomnieniu, z dala od swego Kocka, w którym — jak głosił ongi napis na kolumnie w parku — „Apollo Bóg Nauk, Bóg Światła... dary swoje krajowi rozdał...”.



Kock doby Oświecenia. Rynek mlejski wg ryciny Z. Vogla.

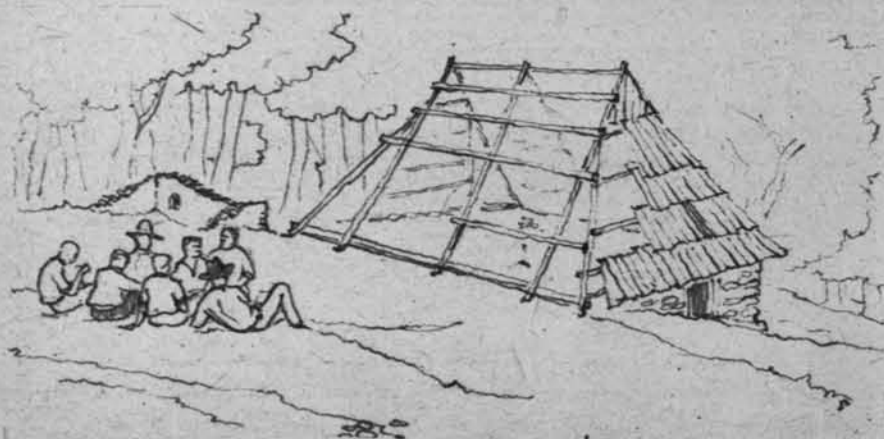


Dzisiejszy Kock, zatrzymany w rozwoju, jest jednak nadal centrum handlu jarmarcznego dla okolicznych wiosek.



ALICJA I MIECZYSLAW KURZĄTKOWSCY
FOTOGRAFIE: ZBIGNIEW GUCWA

ORLILOT



Wiele razy przechodziłem przez lasy i polany Cisownika, Chrobaczej, Nowego Światu w Beskidzie Małym. I nieraz patrząc na kamienne koliby tamtejszych hal przypominałem sobie artykuły w „Wierchach”, mówiące że to ciekawe, że warte zbadania, że trzeba by... Zawsze też myślałem, że następnym razem zabiorę się do ich inwentaryzacji. Naturalnie szczegółowej, z uwzględnieniem krajobrazu, dokładnymi pomiarami itd. I zawsze kończyło się jednak — nie było czasu. Wrzescie po latach zmontowałem grupę inwentaryzacyjną i z zapalem ruszyliśmy w góry. Niestety! Obeszliśmy hale, grzbiety, doliny, Wielką i Małą Puszczę po to tylko by przekonać się, że przybywamy za późno. Ten cały zespół beskidzkiego budownictwa regionalnego tak charakterystycznego dla tych obszarów przestał istnieć.

Niedaleko Krakowa przy dawnym oświęcimskim trakcie na skraju Cholewskich Moczarów leży wieś Kryspinów. Tam, wśród starych olch na rozstajnych drogach stała karczma Pilcerówka. Data na sosrębie 1732 wskazywała na jej wiek sędziwy. Już z zewnątrz karczma zwracała uwagę omsza-

Tym sposobem moje szkice i pobieżne pomiary stały się chyba jedynym materiałem, z którego możemy się dziś dowiedzieć jak wyglądała karczma Pilcerówka na Budzynie.

Czy wyżej przytoczone przykłady to wyjątki? Niestety nie. Można ich wyliczyć o wiele więcej i to z różnych dzielnic Polski. Na Ziemiach Odzyskanych zaś i na Rzeszowszczyźnie niszczenie zabytków przybrało rozmiary klęski. Gina bezpowrotnie pomniki naszej kultury, poszczególne obiekty, zespoły i całe regiony. Bezmyślnie dewastuje się krajobraz. Dużo o tym mówiono, pisano, a że papier jest cierpliwy — niewiele się zmieniło. Dlatego tym razem chcę pisać, o czymś innym: jak ocalić choćby pamięć po tym, co z dnia na dzień niszczeje i ginie?

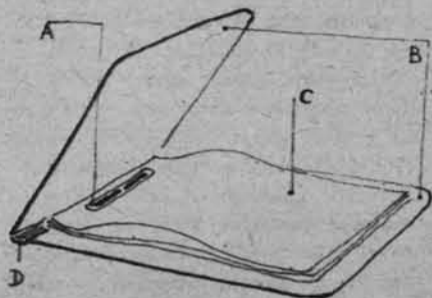
Jest na to sposób — inwentaryzacja! Ale jaka? Gdy mozolna i wieloletnia praca nad Inwentarzami Zabytków w Polsce (wyszło ich zaledwie kilka) wykazała, że i tak nie ujmują one wszystkiego, zaczęto wydawać katalogi. Ale przecież i one wymieniają właściwie tylko poszczególne obiekty zabytkowe, zresztą nie wszystkie. W gruncie rze-

DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW

Po lewej: tak wyglądały jeszcze niedawno kamienne koliby w Beskidzie Małym. Szalas i ruiny kuchni, w bukowym lesie na Polanie Małej Chrobaczej. Obok: klasyczny przykład wartości szkicu. Niedolony rysunek Jana de Witt, a raczej jego kopia (ok. 1600) przedstawiająca wnętrze szekspirowskiego teatru „Swan” stała się jedyną ikonograficzną podstawą do rekonstrukcji szekspirowskiej sceny.



Szkicownik z obciętego skoroszytu. A. uchwyt kartek, B. karton skoroszytu podklejony tekturą, C. kartki czystego papieru kancelaryjnego podzielone na pół, D. grzbiet szkicownika wzmocniony od zewnątrz leukoplastem.



I. NOTATKA. Powinna ona zawierać następujące informacje:

1. Miejscowość, powiat, datę i kto notatkę wykonał.
2. Rodzaj budynku (np. chałupa, śpichlerz, ratusz itp.) Z czego budynek wykonano (kamień, drewno, cegła itp.)
3. Plan sytuacyjny z podaniem stron świata, na nim najbliższe sąsiedztwo budynku, choćby w kilku kreskach. Droga, woda, góra, dolina, zabudowania, zieleń. Objasnienia pisać od razu na rysunku.
4. Plan w schemacie, pojedynczą kreską z zaznaczeniem okien i drzwi.
5. Perspektywiczny szkic całości, w miarę możliwości z jak najszerszym ujęciem otoczeniem.
6. Opis (co specjalnie ciekawego znajduje się na zewnątrz i wewnątrz budowli. Opis można również uzupełnić rysunkami).

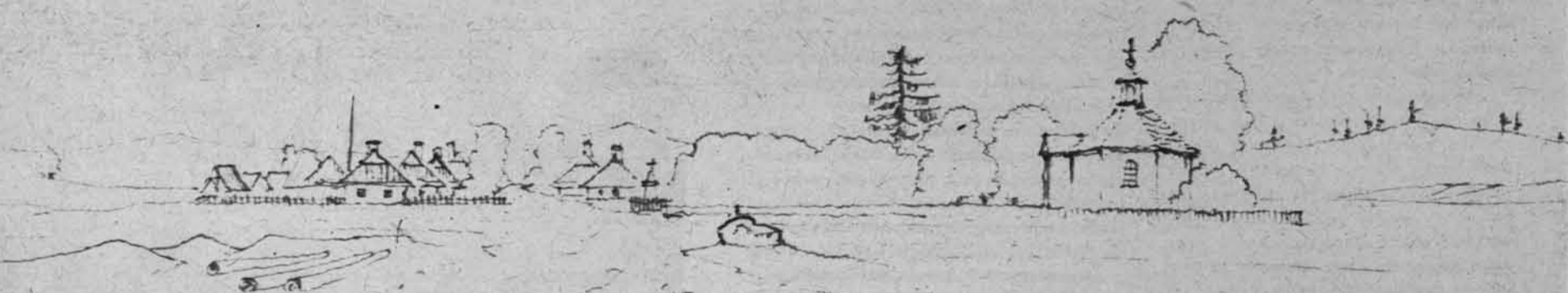
Wrzescie ogólna uwaga: jak najwięcej rysować i fotografować.

II. SZKIC, stosujemy mając więcej czasu i większą wprawę.

sem zajdzie potrzeba wykonania do opracowywanego obiektu, czy zespołu zarówno panoramy jak „wnętrza”. Np. w wypadku kościoła, ratusza, czy zamku, który nie tylko jest widoczny zarówno z placu czy uliczki osiedla, lecz również odgrywa rolę w panoramie całej miejscowości.

4. Plan. Do planu pomierzonego krokami lub patykami (o długości 1 lub 0,5 m) a więc utrzymanego już w proporcjach i narysowanego z uwzględnieniem grubości ścian dodać trzeba rysunki elewacji jednej, dwóch lub wszystkich w zależności od tego czy zasługują na uwagę, wrzescie przekrój lub przekroje przez cały budynek (utrzymane w proporcjach).
5. Rysunek lub rysunki perspektywiczne obiektu, wykonane z różnych stron i naturalnie fotograficznie.
6. Opis ilustrowany rysunkami i fotografiami wewnątrz, oraz w miarę możliwości wartościowych przedmiotów ruchomych (mebli, ołtarzy, obrazów itp.).

III i IV. INWENTARYZACJA. Tutaj można się posłużyć wydanym w 1939



Przykład rysunku panoramy. Mroczków, osada przy dawnym zakładach przemysłowych w Zagłębiu Staropolskim, na tle Gór Świętokrzyskich.

lym gontowym daszyskiem, bramą zajazdni i zakratowanymi okienkami. Wnętrze zaś zachowało iście staropolski nastrój, piękne klepkowe drzwi, stare okucia i zamki. Ogromna szynkownia, z rzeźbionym sosrębem, komin z okapem, sklepiona sień z piwniczką. Czekać tylko Żyda arendarza, zwalistych chłopów i podgolonych szlachciców, którzy ją zaludnili tworząc barwny tłum z rysunków Norblina czy Orłowskiego. Nauczony doświadczeniem z beskidzkich lasów nie czekałem na okazję dokładnego pomiaru lecz od razu na ile pozwolił mi czas, zrobiłem na miejscu kilka rysunków i notatek a ponadto naturalnie także i zdjęcia karczmy. Przyrzekłem sobie, że w przyszłym roku zjawi się tu grupa inwentaryzacyjna. Tymczasem w zimie zawalił się dach, a przemysłni włóścianie skorzystali z okazji i roznieśli co było można. I w lecie zastaliśmy tu tylko nieco gruzu, samotny komin i kawałek sklepienia sieni. Dziś i olchy wycięto i po zajęciu nie zostało śladu, a na jego miejscu budują nowy, brzydki dom.

czy niemalże całe budownictwo świeckie a więc mniej efektowne dwory i kamienice, zabytki przemysłu ludowego, zespoły budownictwa regionalnego, parki a wrzescie i całe krajobrazy i otoczenie, w którym się inwentaryzowane zabytki znajdują, dostały się poza nawias katalogów. I co gorsza, w większości wypadków obiektów tych nie obejmują nawet dorywcze badania.

Cóż wobec tego należałoby zrobić? Jak należy potraktować materiał, który jeszcze istnieje w terenie? Aby choć w części uratować go od zapomnienia, musimy inwentaryzować przy każdej okazji. W miarę posiadania czasu i możliwości, notować, zapisywać, rysować. Każdy taki opis może mieć dla historii naszej architektury ogromne znaczenie. Należałoby też zrewidować nasz stosunek do pojęcia inwentaryzacji. Trzeba ją dostosować do trzech czynników: umiętności, posiadanego czasu i warunków. Można ustalić 4 sposoby inwentaryzowania budowli, różniące się od siebie dokładnością: notatkę, szkic, inwentaryzację zwykłą i szczegółową.

1. Miejscowość, powiat, data i kto szkic wykonał.
2. Rodzaj budynku, z czego wykonany. Wiadomości historyczne o obiekcie które udało się zebrać na miejscu. Konstrukcja ścian, dachów czy innych ciekawych elementów podana na rysunkach, z opisem wprost na nich lub w odnośnikach.
3. Plan sytuacyjny obejmuje to samo co w notatce, ale trzeba już otoczenie narysować w proporcjach mierząc krokami. Nie wystarczy tu też sam plan. Trzeba również wykonać sytuację perspektywiczną, w formie wnętrza budynku czy panoramy.

a. „Wnętrze”. Będzie to np. rysunek perspektywiczny placu wiejskiego, czy rynku miasteczka lub uliczki stanowiącej otoczenie opracowywanej kamienicy czy chaty. Taki rysunek to rzecz bardzo ważna, gdyż ujmuje obiekt względnie obiekty w zespole.

b. Panorama podaje widok obiektu, czy całego osiedla na tle krajobrazu, charakteryzuje więc środowisko. Cza-

roku kwestionariuszem do opisu zabytków sztuki (oprac. W. Kalwaryjska), który w skrócie podaje zasady inwentaryzacji, lub innymi opracowaniami na ten temat (np. Inwentarze Topograficzne Zabytków Sztuki w Polsce). W inwentaryzacji zwykłej obowiązuje już posługiwanie się taśmą mierniczą. Praca zwykle wymaga zespołu i odpowiedniego kierownictwa. Podobnie jest z inwentaryzacją szczegółową, gdzie używamy już prócz taśmy instrumentów pomiarowych itp. W obu tych wypadkach obowiązuje duża dokładność i precyzja. Wykonywać je więc można po zapoznaniu się z zasadami inwentaryzacji i dlatego szerzej nie będę się tym zagadnieniem tutaj zajmował.

A teraz kilka uwag praktycznych: Rysować najlepiej ołówkiem średniej twardości, unikając cieniowania (zaciemnia rysunek), na niedużym formacie zeszytowym: Taki szkicownik zawsze można ze sobą nosić, a to bardzo ważne. Najlepiej kartki wpinać do obciętego skoroszytu w formacie „leżącym”, opatrzonego tekturą okładką. Można wtedy

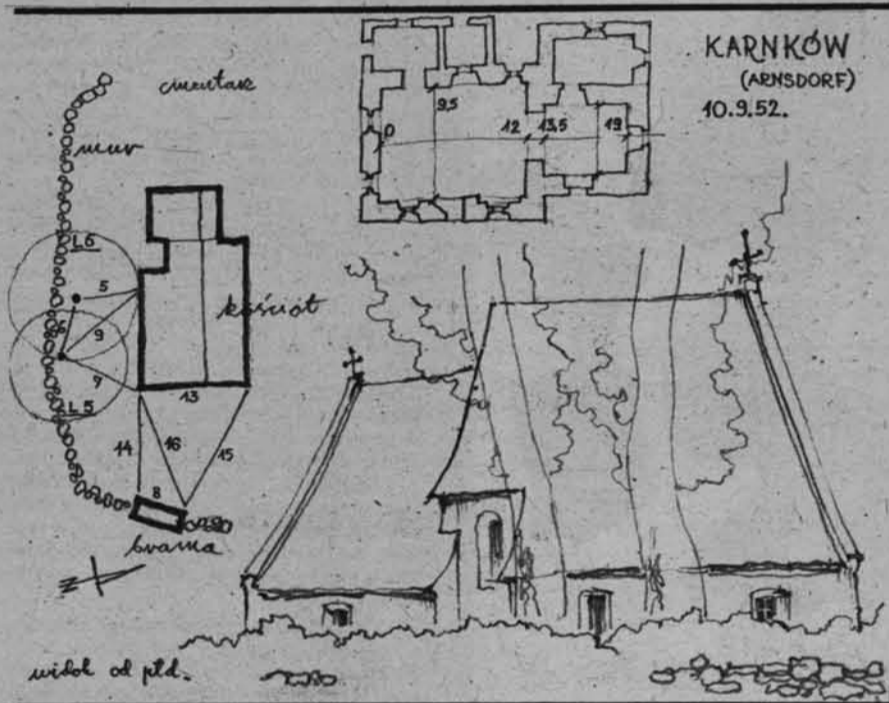
rysować trzymając szpicownik w ręce. Zarysowane kartki można wyjmować i wpinać do innego skoroszytu, którego nie nosi się ze sobą, a to po to by notatek nie zacierać i ich nie gubić. Mierzyć zawsze „ciągiem”, to znaczy nie np. od rogu do okna 2 m, szerokość okna 1,5 m, mur do drzwi 3 m; tylko przyjąc róg: 0 m, okno 2 m, ko-



Przykład rysunku wnętrza. Placyk w Jezioranach (woj. olsztyńskie) na skrzyżowaniu dróg do Dobrego Miasta i Lidzbarku z kościołkiem św. Krzyża, fundowanym w 1677, przez ks. Szymona Niedźwiedzkiego.

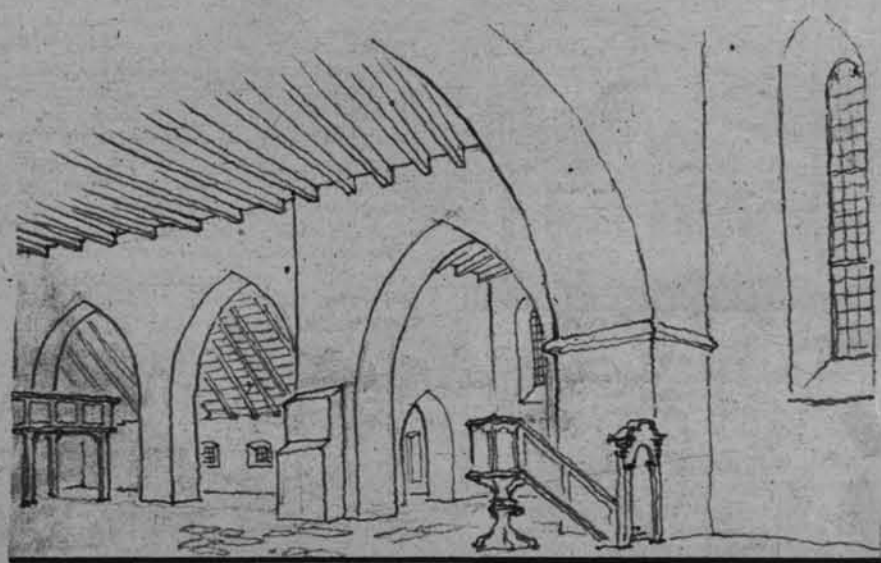
niec okna 3,5 m, do drzwi 6,5 m itd. W ten sposób powstaje od jednego rogu do drugiego ciąg, dający od razu długość całej ściany i błąd w pomiarze jest mniejszy. Przy mierzeniu taśmą wewnątrz trzeba w każdym pomieszczeniu zmierzyć najmniej jedną przekątną, aby „usztywnić” plan.

Kartka ze szpicownika. W tym samym roku jeszcze przedstawiony na niej zbiór w Karnkowie (woj. wrocławskie) miał być przez miejscową gminę rozebrany na materiał budowlany. Czy dziś jeszcze stoi, nie wiem.



Przy robieniu planu sytuacyjnego zabudowań i parków trzeba najpierw narysować szkic rozmieszczenia budynków czy drzew, a później wykonywać pomiar metodą „trójkątów”. Np. przy opracowywanym kościele stoi brama i 2 drzewa (patrz rysunek). Całą mierzoną przestrzeń dzielimy na trójkąty, aby tym sposobem uchwylić ustawienie przedmiotów względem siebie. Gdybyśmy np.

Wnętrze kościoła w Moryniu z XIII wieku, (woj. szczecińskie). W tego rodzaju rysunkach należy się starać o jak najszerwsze, konstrukcyjne ujęcie.



zmierzili tylko odcinki 13, 14, 8, 15, to stanowisko „bramy” nie byłoby wcale określone jednoznacznie, gdyż jak wiadomo długości ścian czworoboku nie wyznaczają jeszcze jego kształtu. Dopiero zmierzenie przekątnej „16”, usztywnia układ i wyznacza miejsce „bramy” jednoznacznie.

Przy pomiarze takim można posłużyć się krokami, naturalnie trzeba zmierzyć średnią długość kroku. Przy pewnej wprawie, dokładność uzyskana tym sposobem jest duża.

Podobnie da się zmierzyć całe założenia parkowe, co wymaga oczywiście dużego nakładu pracy.

Przy rysowaniu panoram i wnętrza

trzeba pamiętać, że mamy skłonność do zbliżania i podwyższania przedmiotów. Dlatego najlepiej chwycić ich proporcje trzymaną w wyciągniętej ręce linijką. Przy pomocy podziałki można niejako mierzyć przedmioty i przenosić je w dowolnej skali na papier.

Tak więc posługując się najprostszymi sposobami, notatką lub szkicem, każdy jest w stanie w miarę posiadanych możliwości zebrać materiał do interesującego go obiektu.

Może ktoś postawić zarzut, że metody te nie są wystarczające dla pełnego scharakteryzowania budowli. Na to jest tylko jedna odpowiedź: lepiej mniej dokładnie, niż wcale!

NAPISAL I RYSOWAŁ JANUSZ BOGDANOWSKI

„... Cieszylibyśmy się bardzo, gdybyśmy mogli korespondować ze szkolnymi kołami krajoznawczymi w Polsce. Bylibyśmy wdzięczni za ewentualne nadesłanie nam Waszych wydawnictw, książek, czasopism, fotografi. Na koniec prosimy o nieodmówienie nam tej uprzejmości i przesłanie numeru czasopisma „Ziemia”...”

Krajoznawcze koło „młodych podróżników” w Rydze istnieje już od paru lat przy centralnym klubie jednego z łotewskich związków zawodowych. Członkowie koła, uczniowie ryskich szkół „związują” historyczne miejscowości Łotwy, Estonii, Litwy i innych republik”. Nadesłany do redakcji „Ziemi” list jest jeszcze jednym przykładem zainteresowania Polską ze strony mieszkańców krajów nadbałtyckich. I doprawdy należy żałować że znajomość życia i kultury narodów Łotwy, Litwy a zwłaszcza Estonii jest u nas na ogół znikoma. Mimo, że w republikach nadbałtyckich mamy tylu szczerych sympatyków i przyjaciół i że na terenie Litwy i Łotwy żyją stosunkowo spore grupy naszych rodaków.

Toteż apelujemy do młodych krajoznawców w Polsce o nawiązanie kontaktów z krajoznawczym kołem w Rydze. Ze swej strony wysyłamy łotewskim krajoznawcom „Ziemię” i — wierząc że ich apel do polskich kolegów nie pozostanie bez echa — podajemy adres „młodych podróżników”: Latvijas PSR, Rīga Valnu ulā 32, TDA Centralis Klubs. A. O. Gross.

NARTY



Ze wzrostem popularności narciarstwa, zwiększa się również zastraszająca ilość poważnych wypadków. Z myślą o bezpieczeństwie narciarzy zaczęto w Austrii produkować w ostatnich latach wiązania, które zapewniają uniknięcie przykrych konsekwencji w razie upadku. Są to wiązania typu „Titrolia”. Pod wpływem bardzo silnych wycieńń buta narciarza, następujących przy upadku, sprężyny automatycznie zwalniają uchwyt. Na rysunkach kompletne wiązanie tego typu oraz działanie „szczęk” wiązania przy mocnym skręcie buta w bok.



Noszenie nart na ramionach jest zawsze czynnością bardzo niewygodną. Sprawę tę w części rozwiązuje specjalnie wykonany pas

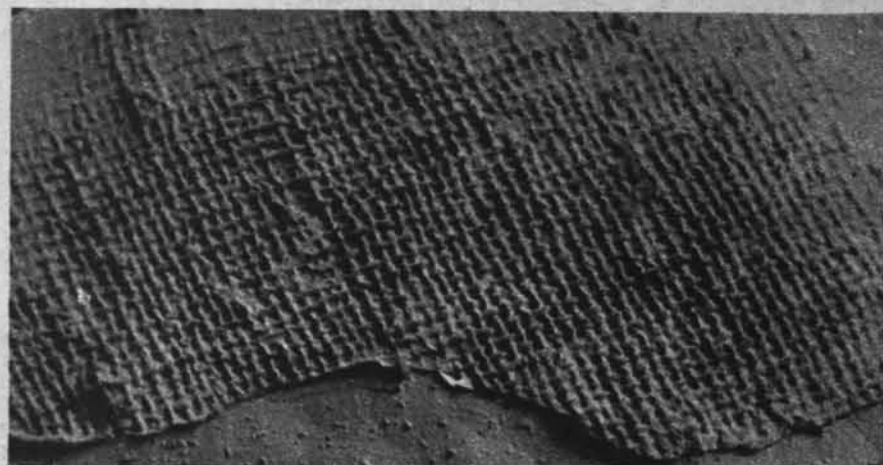


Mocny uchwyt zapewniają kijki narciarskie ze specjalnymi wyłobieniami na palce (firma austriacka Mizz Langer-Kauba).



Taki pokrowiec na wiązania narciarskie zabezpiecza przed zgubieniem różnych ruchomych części, np. linek. Można go wykonać samemu, z kawałka nieprzemakalnego brezentu, ściągniętego gumką i zapinanego na zamek błyskawiczny.

Jako nowość w ubiorze narciarza, firma francuska Aire propaguje skafander z dwu warstw tkaniny pomiędzy którymi wpompowuje się powietrze. Skafander taki jest wodoodporny, lekki, ciepły i wiatroszczelny, a po wypuszczeniu powietrza zajmuje w plecaku o wiele mniej miejsca niż kurtka puchowa.



Tak wyglądała tkanina z Bilcza Złotego, pozytyw.

Fragmenty naczyń z odciskiem tkaniny. Zielonki k. Krakowa.

Kawałki naczyń glinianego z Modlnicy, zdobionego odciskiem plecionki.

GLINIANE DOWODY pierwotnego tkactwa

O tkactwie pierwotnych ludów starożytnych zamieszkujących ziemię Polski wiemy stosunkowo niewiele. W przeciwieństwie do kręgów o wysokiej kulturze — jak basen morza Śródziemnego, Azja Przednia, Środkowa czy Wschodnia, gdzie znajdujemy bardzo wiele zabytków z rysunkami, rzeźby czy malowidłami mówiącymi nam dużo o poziomie ówczesnego tkactwa — ludy zamieszkujące ziemię Polski nie pozostawiły nam tego rodzaju dowodów. Sama zaś tkanina wykonana z materiału organicznego bardzo rzadko i tylko w jakichś wyjątkowych okolicznościach zachowa się przez dłuższy okres czasu w niekorzystnych dla niej warunkach glebowych.

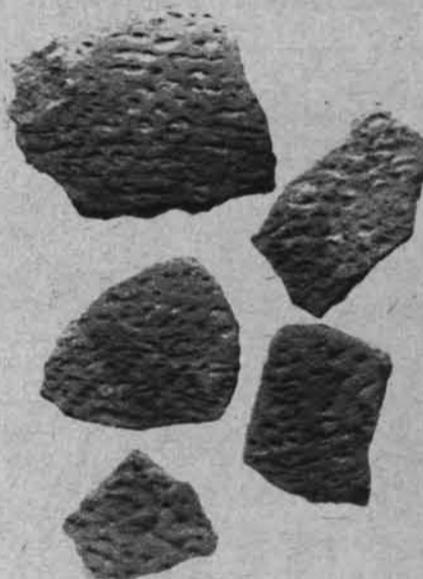
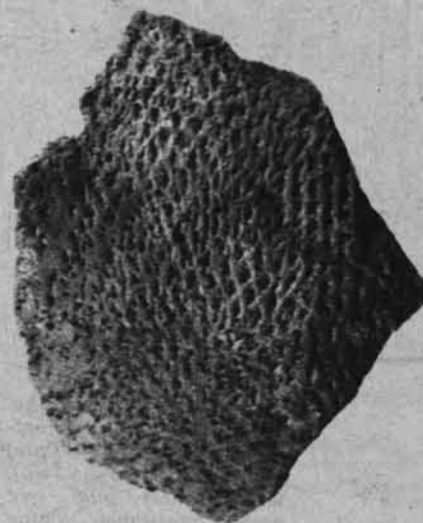
Mimo tych braków i trudności archeologia natrafia bardzo często na inne dowody świadczące pośrednio o znajomości i powszechnym stosowaniu tkactwa przez człowieka na naszych ziemiach zarówno w okresie starożytnym, jak i w średniowieczu.

Tym pośrednim dowodem są pewne pomocnicze elementy urządzeń służących do przygotowania włókien, przędzenia oraz tkania, wykonane z ceramiki. Najpowszechniej spotykanym przez archeologa glinianym dowodem tkactwa są tzw. przęśliki. Przęślik wykonany z gliny wypalanej nakładano na jeden koniec drewnianego wrzeciona, które w ten sposób jednostronnie obciążone pozwalało na łatwe nawijanie przędzonej drugą ręką nici.

Przęśliki gliniane są znaleziskiem towarzyszącym prawie zawsze osadom rolników czy hodowców od neolitu przez epokę brązu i żelaza do okresu wczesnego średniowiecza.

Najstarsze przęśliki począwszy od młodszej epoki kamienia posiadają kształt płaski, cylindryczny, płaskokulisty, wklęsłowy-pukły, kulisty a w późniejszych okresach kształt podwójnego stożka. Były one często zdobione mniej lub bardziej skomplikowanym ornamentem w postaci linii poziomych ukośnych nacięć, dołków itp. W okresie wczesnego średniowiecza na ziemi polskiej docierały przęśliki wyrabiane na Wołyniu z różowego łupku wołyńskiego, co świadczy m. in. o żywych kontaktach plemion polskich z Wołyniem.

Najważniejszym narzędziem służącym do wyrobu tkanin były krosna. Krosna znane były człowiekowi zamieszkującemu ziemię polską od najwcześniejszego okresu młodszej epoki kamienia. Umożliwiały one wykonanie tkaniny większych rozmiarów przez rozpięcie w kierunku podłużnym przędzonych uprzednio nici zwanych osnową i przeplatanie ich niemi wątku w kierunku poprzecznym.



O tym że krosien pionowy wali Grecy i Rzymianie wiemy z licznych źródeł ikonograficznych. W pierwotnych i starożytnych osadach polskich istnienie krosien (które będąc wykonane z łatwo ulegającego niszczeniu drewna — nie zachowały się) poświadczają znowu pomocnicze ich elementy, wykonane z gliny palonej. Są nimi ciężarki, których używano do obciążania zwisających pionowo nici osnowy. W młodszej epoce kamienia ciężarki te były płasko kuliste, później w okresie lateńskim posiadają kształt ściętego stożka lub ostrosłupa.

Na uwagę zasługuje okoliczność, że w osadach wczesnego średniowiecza nie spotyka się zupełnie tego typu ciężarków do krosien, co potwierdza wiadomości na podstawie innych danych fakt używania w tym czasie ulepszonych typu krosien poziomych, obywatelujących się bez ciężarków.

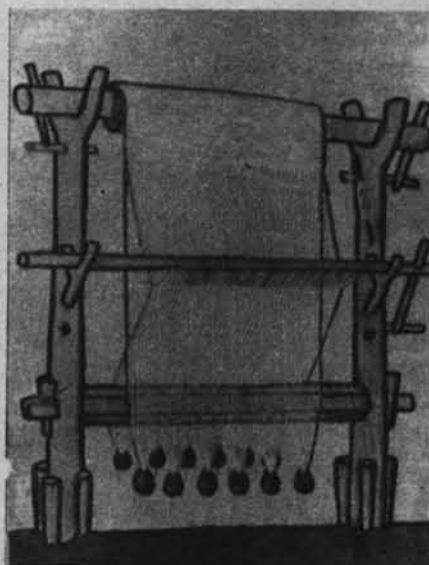
Innym przyborem wykonanym z gliny wypalanej a używanym przy wyrobie tkanin są szpule gliniane. Są one jednak znaleziskiem o wiele rzadszym aniżeli przęśliki czy ciężarki do krosien.

Poza wymienionymi glinianymi elementami urządzeń służących do przędzenia czy tkania, świadczącymi pośrednio o istnieniu i znajomości tkactwa na naszych ziemiach w zamierzchłej przeszłości — spotykamy jeszcze inne gliniane dowody stwierdzające już bezpośrednio istnienie samych tkanin i określające częściowo technikę ich tkania. Są to rzadko spotykane odciski tkaniny na glinianych naczyńkach. Powstały one czasem przypadkowo, zupełnie nie zauważone przez ówczesnego garncarza. Czasem jednak były wykonane celowo i miały na celu upiększenie powierzchni naczyń. Naczynie takie po wysuszeniu i wypaleniu zachowało do dnia dzisiejszego negatyw odcisniętej tkaniny, pozwalając po tysiącach lat odtworzyć technikę jej tkania.

Jako przykład celowego zdobienia ceramiki przez odciskanie na jego powierzchni plecionki — może służyć naczynie z wczesnego okresu epoki brązu, pochodzące z Modlnicy pod Krakowem. Cały brzusiec począwszy od szyi po płaskie dno zdobiony jest tutaj dołkami, które powstały po odcisnięciu plecionki na miękkiej jeszcze glinie naczynia przed jego wysuszeniem. Odcisnięte dołki są miejscami częściowo zatarte i przechodzą w podłużne żłobki, powstałe przez pociągnięcie plecionki po naczyniu. Odcisk pozytywu na plastelinie wskazuje na bieg skośny ścięgu. Plecionka wykonana była najprawdopodobniej z łyka.

Z przykładem właściwego tkactwa mamy do czynienia na dwóch fragmentach brzusca naczyń z Zielonki pod Krakowem, datowanego również na okres wczesnego brązu. Cała powierzchnia zewnętrzna pokryta jest jednolicie odciskiem tkaniny najprawdopodobniej lnianej, gruboziarnistej, o równym splocie. Wątek grubo składa się z podwójnej nitki nierówno sprzędzonej; skutkiem stosunkowo grubych nici wątku nie znać odcisniętego śladu osnowy.

Ślad klasycznej tkaniny lnianej zachował odcisk na dnie zasobowego naczyńka neolitycznego z Bilcza Złotego k. Zaleszczyk. Tkanina ta o nitce cienkiej i równo przędzonej tak w wątku jak i w osnowie, wykonana na krosnie jest doskonałym dopełnieniem wiadomości o wysokim poziomie wytwórczości ludności kultury trypolskiej w młodszej epoce kamienia. Odcisk tej tkaniny jest najprawdopodobniej przypadkowy; powstał na skutek postawienia świeżo wykonanego naczyńka glinianego na kawałku płótna. Tak więc mimo woli ówczesnego garncarza naczynie to stało się źródłem do poznania ówczesnego tkactwa.



Rekonstrukcja prymitywnego pionowego warsztatu tkackiego. Zwisające pionowo nici osnowy obciążone glinianymi ciężarkami.

Neolityczne przęśliki gliniane.

Gliniane ciężarki do krosien z młodszej epoki kamiennej. Książnica Wielkie.



Wrzeciono obciążone przęślikiem glinianym.

TEKST I ZDJĘCIA
KAZIMIERZ
BIELENIN



OGRÓD ŚWIATA

Widok kwitnących tulipanów, narcyzów i hiacyntów ściąga corocznie do Holandii miliony turystów z całego świata. Tulipan stał się nawet emblematem tego kraju wiatraków. Pochodzi on jednak z Azji Mniejszej. Ponad 1000 lat temu krzyżowcy zabrali stamtąd kilka cebulek i ofiarowali je klasztorom osiadłym w Turcji. Na dworze sułtana obchodzono corocznie święto tulipana. Z czasem tulipan poprzez Bałkany i Niemcy dotarł do Holandii, gdzie już w XVII w. tzw. „wieku złotym” stał się obiektem spekulacji handlarzy. Jedna cebulka sławnego gatunku *Semper Augustus* kosztowała 4000 florenów, więcej niż para koni z karocą. Dzisiaj największym ośrodkiem hodowli kwiatów jest Spółdzielczy Zakład Ogrodniczy w Aalsmoor koło Amsterdamu. 150 ha szklarni dostarcza codziennie kwiatów na wielkie publiczne przetargi. Budynki służące do wystaw, sprzedaży i nowoczesne hale przetargowe obejmują 175 ha terenu. Zrywane co wieczór w szklarniach i ogrodach kwiaty, przeznaczają się na sprzedaż następnego dnia. Nocą układa się je na specjalnych stołach „wystawowych”. 5 hal przetargowych posiada 800 amfiteatralnie umieszczonych miejsc, dla 160 hurtowników w każdej. Miejsca są z góry wykupione na rok i zawsze wypełnione do ostatniego. Przy każdym fotelu znajduje się guzik elektryczny, za pomocą którego kupcy licytują tzw. „losy”. Te losy to kwiaty cięte lub doniczkowe, które zaopatrzone w numery wjeżdżają na traktorach do sali. Na przeciw siedzących widnieje na ścianie olbrzymi wskaźnik elektryczny. Na zewnętrznym obwodzie tarczy wypisane są liczby od 1—100. Wewnętrzny obwód posiada 160 cyfr odpowiadających 160 miejscom licytujących kupców. Z chwilą rozpoczęcia licytacji wskazówka tego „zegara” zaczyna się poruszać przesuwając się od liczby 100 (lub niższej, zależnie od ceny wywołania), ku liczbie 1, aż

OGRÓD ŚWIATA

do chwili gdy zostanie zatrzymana przez któregoś z kupców naciśnięciem guzika. Aparat zbudowany jest w ten sposób, że nigdy dwa guziki nie mogą być naciśnięte dokładnie w tej samej chwili i stąd przy licytacji nie ma nieporozumień. Mimo że ten rodzaj przetargów odbywa się błyskawicznie, w dniach wielkich obrotów ciągną się one od rana do późnego wieczora. Zakupione kwiaty dostarczane są natychmiast nabywcom, w kraju — samochodami, za granicą — samolotami. Szybkiej wysyłce sprzyja bliskość lotniska w Schiphol, skąd kwiaty odlatują do Anglii, Skandynawii, a nawet północnej Afryki. Obecnie eksport uległ zmniejszeniu, ale 10 milionowa ludność Holandii kupuje kwiatów za 80 milionów florenów rocznie. (ap)



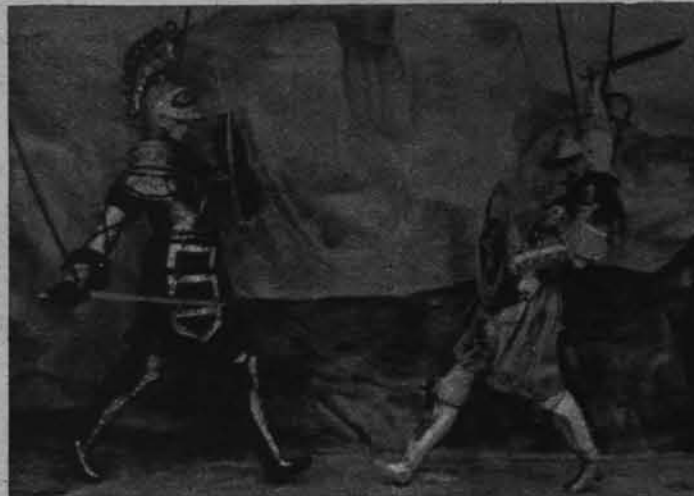
ZBROJE Z ARMATNICH ŁUSEK

zywanych z pokolenia na pokolenie. Na scenie Acireale odżywają dzieje średniowiecznych walk. Zakuci w zbroje rycerze przeszywają się mieczami lub jednym cięciem strącają wrogom głowy. Głowy marionetek są wymienne. Ten sam korpus wysokiej na metr lalki może służyć kolejno rozmaitym postaciom odgrywanej sztuki. Biała reżyserowi, który przez pomyłkę użyje głowy „zabitej” przed paroma dniami postaci. Ośmiesz się niezawodnie.

Dzisiejsze mosiężne zbroje marionetek z Acireale wyglądają szczególnie imponująco. Materiału na nie dostarczyły ludowym artystom sterety łusek artyleryjskich, pozostałość ostatniej wojny. (D)

Powstanie wybuchło w czasie niesporów. Niebawem w całym kraju srożyła się wojna. Scigano i bezlitośnie mordowano zniechęconych normandzkich rycerzy. Władza północnych przybyszów przestała na wyspie istnieć.

Mimo iż od powstania minęło już niemal siedem wieków, pamięć o krwawych Sycylijskich Nieszporach z r. 1282 żyje do dziś w sycylijskim ludowym teatrze marionetek w Acireale. Odbywają się tu całe serie przedstawień według sztuk ułożonych w dawnych czasach i przekaza-



Park Linnanmökki, położony w centrum Helsinek na skalistym kopcu, to wielki ośrodek rozrywkowy tego miasta. Można tu znaleźć kawiarnie, dancing na wolnym powietrzu, teatry, sale koncertowe, karuzele. Szczególną popularnością cieszy się, miejscowe wesołe miasteczko, a w nim karkołomna, ponoć największa w Europie kolejka. Ten kto odważy się do niej wsiąść ma możliwość oglądania Helsinek z najwyższe-

go punktu miasta. Poza tym są tu jeszcze i inne atrakcje — samoloty, wirujące wózki, a wreszcie pomysłowa budowla o ścianach ze szkła tworzących skomplikowany system korytarzy i korytarzy. Dzięki przezroczystemu ścianom widzą zewnątrz może obserwować możliwe wysiłki tych, którzy zabłądziwszy, szukają drogi powrotnej z tego — niegroźnego zresztą labiryntu. (IP)

LEWA STRONA

Tradycje lewostronnego ruchu w Anglii sięgają odległych czasów, kiedy to podróżny liczył się z możliwością napadu bandytów. Szpady — jak wiadomo — noszono u lewego boku. Podróżujący na koniu jeździec trzymał się lewej strony drogi by móc w razie napaści sięgnąć prawą ręką po szpadę i od razu uderzyć na przeciwnika, bez potrzeby wykonywania koniem półobrotu. Nie wiemy oczywiście czy i bandyci nie opracowali następnie skuteczniejszych metod ataku, ale faktem jest że brytyjscy podróżni zachowali do dziś system ruchu lewostronnego. Obecnie ten typ ruchu ulicznego panuje poza W. Brytanią w krajach Wspólnoty Brytyjskiej (za wyjątkiem Kanady), w Szwecji, na Węgrzech i w Japonii. (ap)

FOTOGRAFIE JAN SŁUP SKI



ALPINIŚCI NA KAUKAZIE

Jesienią ub. roku na zaproszenie alpinistów radzieckich przebywała w masywie Kaukazu Centralnego, w dolinie Adyl-su, II Polska Wyprawa Klubu Wysokogórskiego. Pierwsza po wojnie na tym terenie. Jej zadaniem było przede wszystkim zdobycie najwyższego wierzchołka Europy, Elbrusu (5995 m npm), kilku szczytów w głównej grani Kaukazu Centralnego a ponadto przeprowadzenia rozpoznania możliwości, warunków technicznych i organizacyjnych następnych polskich wypraw eksploracyjnych w góry ZSRR. Mimo bardzo krótkiego, 12-dniowego pobytu w obozie alpinistycznym „Szachtior” wyprawa o-

sięgnęła wszystkie postawione przed nią cele, zdobywając oprócz Elbrusu, trzy inne wierzchołki wysokości ok. 3900 m npm: Gumaczi, Koj-afgan-baszi i Wiatu. W czasie wyprawy przeprowadzono badania naukowe z dziedziny geologii, oraz zbierano glony naśnieżne z lodowców kaukaskich, celem poddania ich w kraju badaniom i porównaniu z analogicznymi glonami tatrzańskimi. Dodatkowym plonem wyprawy jest film z jej przebiegu oraz kilka tysięcy zdjęć fotograficznych.

Cenną zdobyczą jest przede wszystkim nawiązanie osobistych kontaktów z alpi-



Pierwszymi klientami po inauguracji „drive-in bank”, tj. banku w którym klienci do okienka kasy podjeżdżają wprost samochodami — byli trzej gangsterzy. Pod groźbą karabinu maszynowego zainkasowali 35 000 dolarów i pożegnali kasjera słowami: „Cóż to, był za

wspaniały pomysł, aby tak nam ułatwić „robotę!” (ap)



W pewnej piwiarni bawarskiej gości, którzy już so-

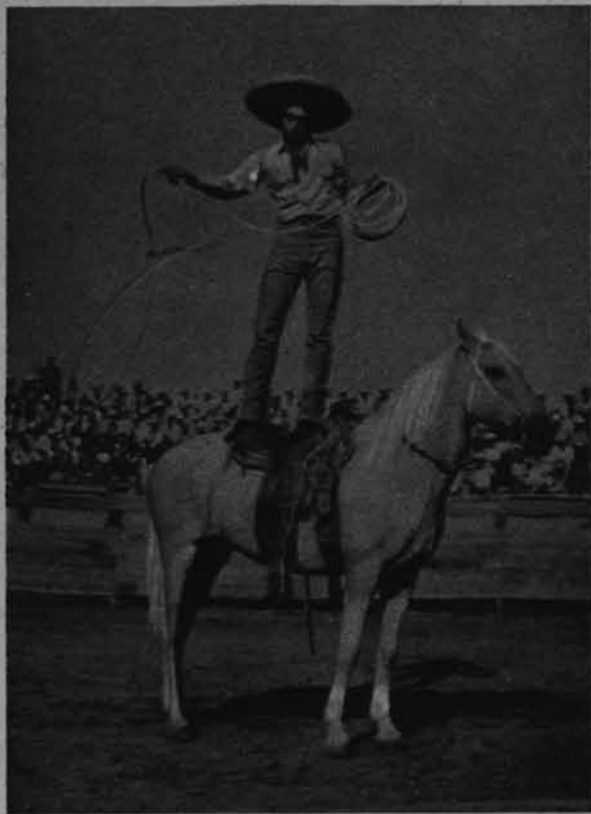
bie nieco podchmielili, otrzymują od kierownika karteczkę z takim napisem: „Drogi przyjacielu, rozgrzałeś się (lub „ochłodziłeś” — zależnie od pory roku) wystarczająco jak na prawdziwego znawcę. Proponujemy Panu zaprzestanie picia i opuszczenie lokalu”. (ap)



nistami oraz radzieckimi władzami alpinistycznymi. Polacy zostali zaproszeni na rok 1958. Miejmy nadzieję, że otworzą się przed nimi inne góry ZSRR, a przede wszystkim wspaniały Pamir.

ANDRZEJ MANDA

PEMEX TRAVEL CLUB BULLETIN



Popis zręczności meksykańskich cowboyów.



Z wielkanocnych widowisk pasyjnych w Meksyku. Żołnierze rzymscy z „mieczami” w rękach.

Zainteresowania osobliwościami kraju to jedna z podstaw turystyki. W Ameryce rozwój turystyki oznacza zwiększone zużycie benzyny a co za tym idzie — zwiększone dochody przedsiębiorstw naftowych. Nic więc dziwnego, że meksykańskie przedsiębiorstwo Pemex* (Petroleos Mexicanos) wydaje w celach reklamowych czasopismo o charakterze wyraźnie krajoznawczym — Pemex Travel Club Bulletin.

Meksyk, podobnie zresztą jak i inne republiki amerykańskie założone przez potomków hiszpańskich i portugalskich kolonistów, jest krajem znacznych kontrastów. Prowincjonalne miasteczka meksykańskie żyją dziś w podobny sposób jak przed kilkuset laty. Do nich należą takie sennie osady jak Aguacalientes w stanie Durango czy zamarle dziś centrum górnicze Sombretete. W tych starych osiedlach, pośród zabytkowych budowli w hiszpańskim stylu kolonialnym „zapominamy nie tylko o bombie atomowej ale nawet o istnieniu maszyny parowej”. Tak przynajmniej zapewnia nas jeden z numerów Bulletinu.

Obok jednak tradycyjnej prowincji turysta zetknie się z metropolią, której całe dzielnice zbudowano w duchu najnowocześniejszej architektury. Olbrzymi ruch samochodowy na ulicach i jarzące się neony zbliżają Mexico City do typowych wielkich miast Stanów Zjednoczonych. Żadne jednak z tych miast nie może poszczycić się tak bogatą historią jak stolica meksykańska. Już w początkach naszej ery istniało tu miasto Teotihuaca. Później posiadali w tym miejscu swą stolicę Aztekowie. Do dnia dzisiejszego zachowały się w Mexico City liczne ślady dawnych indiańskich budowli. Jeszcze więcej śladów zostawił po sobie okres, w którym Meksyk był posiadłością hiszpańską. Zabytki okresu kolonialnego, będące echem stylów nurtujących nowożytną Europę stanowią niewątpliwą atrakcję dla amerykańskiego turysty, ciekawego europejskich „starożytności”.

Krajiną naprawdę dawnych zabytków kultury indiańskiej jest półwysep Yukatan. Już sama przyroda tego kraju jest bardzo osobliwa: skalista równina,

o subtropikalnym klimacie. Przecinają go podziemne rzeki, z których wodę czerpie się w spotykanych co krok wylotach jaskiń. W jaskiniach tych zresztą pobudowano dziś restauracje i pływalnie. Wśród występujących tu licznie szczątków budowli Majów największą sławą cieszą się Chich'en Itza, Uxmal i Merida.

Ale myliłby się ten kto by myślał o Meksyku tylko jak o kolosalnym muzeum zabytków. Nowoczesna sztuka rozwija się w tym kraju bardzo żywo.

Sława meksykańskiego malarstwa ściennego przysłoniła nieco inne działy plastyki. Niemniej malarstwo sztalugowe ma tu też wiele wybitnych nazwisk, takich jak Guerrero Galvan, Orozco Romeo, Raul Anguiano i inni. Choć reprezentują bardzo różne style malarskie widać w ich dziełach jakiś wspólny, specyficznie meksykański „klimat”. Grafika meksykańska ma do dziś silny związek z twórczością ludową. Na rogach ulic w meksykańskich miasteczkach do dziś sprzedaje się tanie, wydane na kiepskim papierze druczki „corridos”

zawierające historię jakiejś słynnej zbrodni, katastrofy czy innego wydarzenia poruszającego opinię publiczną. Historie te ilustrowane są przez domorosłych „grafików”. Oczywiście nie brak w Meksyku artystów-grafików. W jednym z numerów biuletynu widzimy sporo reprodukcji ich dzieł. Zabawne, że jeden z artystów nazywa się Mariano Yampolsky.

Każdy numer biuletynu zawiera kalendarz „fiestas” na dany miesiąc. Jest to rodzaj naszych odpustów, świąt ludowych w małych miasteczkach. Można w czasie tych uroczystości oglądać rozmaite zawody, tańce, walki byków i kogutów. Można też kupić charakterystyczne wyroby lokalne. Może i u nas warto by ogłaszać dla użytku krajoznawców i turystów taki kalendarz ciekawszych odpustów i jarmarków przynajmniej w tych miejscowościach, gdzie jeszcze zachowały się ciekawsze tradycje, stroje i rzemiosło ludowe?

* O organizacji Pemex Travel Club pisaliśmy już w ZIEMI nr 6/57.

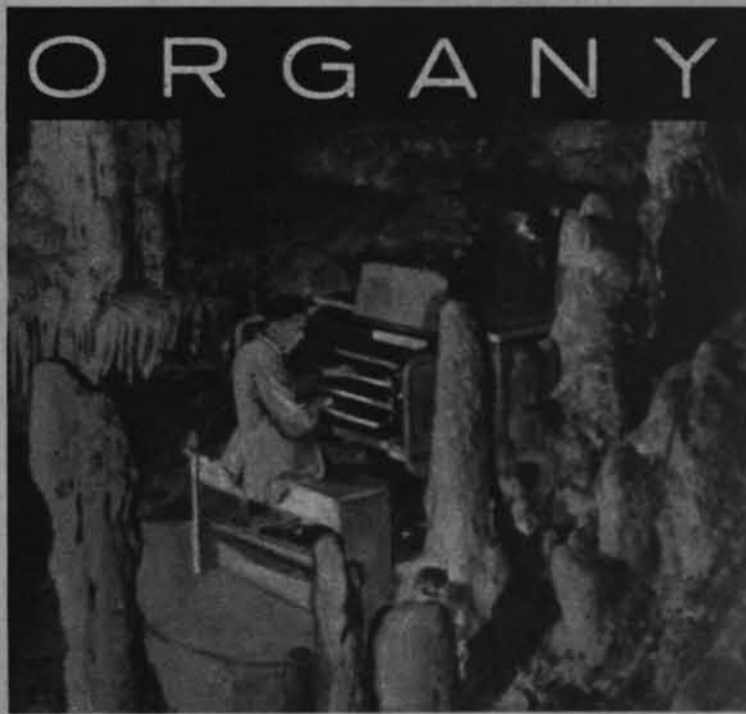
Najdziwniejszym chyba instrumentem muzycznym świata są organy stalaktytowe, zbudowane w jaskini Luray Caverns w stanie Virginia w USA. Konstruktor organów, Leland W. Spinkie wykorzystał zdolność znajdujących się w tej jaskini stalaktytów do wydawania dźwięków pod wpływem lekkiego uderzenia. Budowa organów trwała trzy lata. Spośród licznych nacieków zdobiących jaskinię wyszukiwano stalaktyty odznaczające się pięknym dźwiękiem, a następnie przez skracanie ich długości i odpowiednie polerowanie osiągnęto pożądaną wysokość tonu. Dokładność obróbki stalaktytów kontrolowana była przy pomocy oscylografu rejestrującego częstość drgań. Dalszym etapem było zmontowanie obok tak „nastrojonych” stalaktytów urządzenia wprowadzającego je w drgania.

Urządzenie to składało się z cewki, wewnątrz której znajdowały się żelazny rdzeń, zakończony gumowym czopem. Gdy przez cewkę przepływał prąd, siła powstającego pola elektrycznego wyrzucała na zewnątrz cewki rdzeń, który uderza w stalaktyt wywołując w ten sposób dźwięk. Wszystkie cewki są połączone przewodami elektrycznymi z pulpitem organów mieszczącym się w głównej sali

jaskini. Naciskając klawisze pulpitu włącza się cewki wprowadzające w drgania odpowiednie stalaktyty.

Drgania stalaktytów przekazywane do wzmacniacza lampowego i urządzenia modelującego głos nadaje się przez głośniki umieszczone w głównej sali. Wzmacniacz, modulator głosu i bateria akumulatorów zmontowane są w osobnej niewielkiej komorze. Aby zmniejszyć panującą w komorze wilgoć, która zakłóca pracę tych urządzeń, powietrze ogrzewają tu odpowiednie grzejniki. Głośniki transmitujące dźwięki stalaktytów rozmieszczone wokół głównej sali, uzyskując dźwięk stereofoniczny.

W chwili obecnej organy obejmują skalę tonów równą trzem oktaвам. Dźwięczące stalaktyty rozrzucone są na obszarze 2,5 akra to jest około 10 000 metrów kwadratowych. Przy zakładaniu przewodów łączących cewki z pulpitem organów odkryto przejście wiodące do nieznanych dotąd części jaskini. Obecnie Leland W. Spinkie planuje rozbudowę swego instrumentu do pełnej skali tonów normalnych organów. Wykorzystane będą przy tym stalaktyty znajdujące się w odległych partiach jaskini. Ich głos transmitowany będzie przez głośniki do głównej sali. (R. U.)



WĘDROWNY RZEŹBIARZ LUDOWY



Znaleziono go pewnego dnia 1945 roku martwego obok cmentarza w wiosce Melgiew; miał wtedy 56, czy 57 lat. Przy zwłokach leżała butelka po denaturacie. Wiedzano o zmarłym powszechnie, że pił dużo i chętnie — zarówno w czasie pracy, jak i po jej wykonaniu.

Dzisiaj już nikt nie potrafi wskazać nawet miejscowości, skąd pochodził. Jedni twierdzą, że rodzinną wioską Wacława Szczepańskiego był Zazulin w powiecie lubartowskim, inni podają Życzycę, jeszcze inni Świdnicę, gdzie miała mieszkać jego żona. Z zawodu był stolarzem meblowym, z uzdolnień rzeźbiarzem-samoukiem. Nie miał stałego miejsca pobytu, wędrował w dość szerokim promieniu po wioskach, szukając zamówień — zwłaszcza z zakresu rzeźby nagrobkowej, choć wykonywał też płaskorzeźbione obrazy, rzeźby o tematyce religijnej i ozdobne meble — jak np. w Spiczynie i Jawidzu.

Na ślad działalności Szczepańskiego natrafiłam na cmentarzu we wsi Łuszczów w powiecie lubelskim, gdzie znajduje się szereg najrozmaitszej komponowanych i zdobionych nagrobków jego roboty*. Potem odnalazły się duże skupiska jego dzieł na cmentarzach w Łęcznej i Kijanach, a także w Sernikach. Na koniec okazało się, że rzeźbił również w Spiczynie, Jawidzu, Kijanach, Łuszczowie, Łęcznej, Melgwi — tak, że terytorialny zasięg jego twórczości zamknął się na dość sporym obszarze, łączącym na pograniczu powiatów lubartowskiego i lubelskiego.

Był to jeden z ostatnich może, rzadko już dzisiaj spotykanych wędrownych rzemieślników-rzeźbiarzy. Umawiał się zazwyczaj na wynagrodzenie za pracę przy pełnym utrzymaniu i z mieszkaniem. Sądząc z ilości jego zachowanych prac i z tego, że zamawiali u niego nagrobki przeważnie gospodarze bogatsi — zarabiał prawdopodobnie dobrze. Przemawiałyby za tym również fakt, że dobierał sobie pomocników — uczniów. W Kijanach, gdzie po raz pierwszy zjawiał się w 1920 roku, pomagał mu Pastusiak, obecnie pracujący jako stolarz w tamtejszej szkole. W latach 1934 do 1939 chodził z nim jego inny uczeń, Czesław Nowicki ze wsi Spiczyn.

Najciekawszą dziedzinę twórczości Szczepańskiego stanowią niewątpliwie drewniane nagrobki. Wyróżniają się wśród nich trzy zasadnicze typy: pierwszy — najczęściej spotykany — to krzyż ustawiony na dwóch, względnie trzech zwięzających się członach; drugi — to obelisk ustawiony na niższej zazwyczaj podstawie;

wreszcie trzeci — spotykany najrzadziej — to pełna rzeźba figuralna ustawiona na cokole. Nagrobki sięgają najczęściej do 2 metrów wysokości, chociaż spotyka się i mniejsze, a wyjątkowo dochodzą też do około 3,5 metra, np. w wypadku ozdobionego pełną rzeźbą Chrystusa nagrobku Grzegorzyczków w Łuszczowie.

Zdobnictwo nagrobków jest stosunkowo bogate. Dolna podstawa jest zazwyczaj boniowana na podobieństwo nieregularnego układu kamieni. Górne człony posiadają po bokach ryte gałązki kwiatowe o swobodnej i bardzo charakterystycznej dla Szczepańskiego kompozycji. Najwięcej pomysłowości wykazał rzeźbiarz w przedstawianiu Chrystusa Ukrzyżowanego występującego na jego krzyżach nagrobkowych najczęściej w pełnej postaci. Wyjątkowo tylko — jak w Łuszczowie — rzeźbił samą głowę w otoku korony cierniowej. Postać Chrystusa Ukrzyżowanego komponowana była przez Szczepańskiego za każdym razem w odmiennym nieco ujęciu — niezależnie od tego, czy powtarzał figurki w rzeźbie pełnej, w płaskorzeźbie, czy też znaczył je tylko rytym bezpośrednio na drzewie krzyża. Szczególnie dużo ciekawych i niespotykanych gdzie indziej rzeźb tego rodzaju znajduje się na cmentarzu w Kijanach, gdzie zgromadzone są nagrobki jego roboty poczynając od 1920 aż do 1945 roku. Spośród tego typu rzeźb każda figurka różni się czymś od podobnych jej w proporcjach ciała, rysach twarzy lub w ułożeniu i dekoracji peryzjonium. Badać je najładniejsza figurka znajduje się w Kijanach na nagrobku z napisem:

„WAWRZYNIEC
PRZYPIS
ŻYŁ LAT 70
ZM. 1929 ROKU“

Posiada ona ekspresyjnie modelowaną twarz, ładnie osadzoną w ramionach głowę i bardzo prosto, lecz pomysłowo rozwiązane peryzjonium.

Drugi typ wykonywanych przez Szczepańskiego nagrobków, które można nazwać obeliskowymi, posiada skromniejszą dekorację. Występują tu jedynie bonie na postumencie; zaś w górnej partii wypukły relief, przypominający empirowy wieńiec z festonem. Czasem spotyka się także ryte wzory roślinne.

Najbardziej reprezentacyjne nagrobki z ustawioną na cokole postacią pełnorzeźbioną działają raczej monumentalnością i masywnością rzeźby, mniej zaś jej wyrazem.

Poza tym Szczepański wykonywał płaskorzeźbione obrazy święte oraz małe pasyjki dla mieszkańców wsi Jawidz, Spiczyn i Kijany. Obrazy nie posiadają już jednak tego piętna indywidualnego stylu, którym nacechowane są wszystkie wykonywane przez rzeźbiarza nagrobki. Stało się to prawdopodobnie dlatego, że w dziedzinie rzeźbienia nagrobków, których ogólna liczba lekko licząc przekracza pięćdziesiąt, nabrał z biegiem czasu takiej wprawy, iż wykonanie ogólnej koncepcji nie nasuwało mu już żadnych trudności. Mógł więc zrezygnować łatwo z oglądania się na pierwowzory, całą uwagę kierując wyłącznie tylko na swoją rzeźbę i jej szczegóły, które też każdorazowo mniej lub więcej odmiennie rozwiązywał. Na całym obszarze jego działalności znane mi są tylko cztery jego płaskorzeźby obrazowe — i to każda o odmiennym tematyce. Niewątpliwie w czasie ich rzeźbienia Szczepański posługiwał się jakimś pierwowzorem, które w pewnym mierze narzucały mu inną za każdym razem koncepcję kompozycji i realizacji. Niemniej i tu potrafił wprowadzić ciekawe nieraz uproszczenia.

Wacław Szczepański był niewątpliwie jednym z wybitniejszych rzeźbiarzy ludowych na terenie Lubelszczyzny — i warto o nim pamiętać przy omawianiu całokształtu sztuki ludowej tego regionu.

* Autorka publikuje tu fragment wyników swych badań terenowych, przeprowadzanych na Lubelszczyźnie dla PIS.

MARIA PRZEŹDZIECKA



MATERIAŁY Z ZAKRESU HISTORII, TECHNIKI, GOSPODARKI I TERMINOLOGII MORSKIEJ

ZYGMUNT BROCKI

Od lipca 1955 roku ukazywały się w Gdańsku „Materiały z Zakresu Historii Techniki, Gospodarki i Terminologii Morskiej”, dodatek do miesięcznika „Biuletynu Instytutu Morskiego”. Wydawnictwo to było dość „zakonspirowane”: większość egzemplarzy „Biuletynu” wraz z „Materiałami” otrzymywały instytucje i przedsiębiorstwa Ministerstwa Żeglugi i Gospodarki Wodnej oraz statki naszej floty handlowej, a 140 dodatkowych egzemplarzy „Materiałów” — osoby naukowe zainteresowane historią Polski na morzu oraz osoby zajmujące się historią techniki lub gospodarki. Ponieważ jednak wydawnictwo to nadsyłało również większym bibliotekom i uniwersyteckim bibliotekom zakładowym zawierało między innymi materiały mogące zainteresować także krajowców — warto w „Ziemiu” poświęcić mu nieco uwagi.

„Materiały” kilkakrotnie zajmowały się skutecznym pomorskim. Już w nrze 1 doc. inż. W. Urbanowicz poruszył ten temat w postulatycznym artykule pt. *Rozpocząć badania nad techniką skuteczną Stowian nadbałtyckich*. W nrze 3 kustosz Działu Morskiego Muzeum Pomorza Zachodniego dr P. Smolarek podał szereg wiadomości dotyczących łodzi z

X wieku znalezionej nad jeziorem Lebsko (w okolicy wsi Czarnowsko).

W nrze 5 znajdujemy dwie wzmianki o dębaniach, a więc łodziach wykonanych z jednego pnia, pióra H. Wilczewskiego i A. Ropelewskiego.

W nrze 10 Z. Hołowińska ze Stacji Archeologicznej PAN-u w Gdańsku dała sprawozdanie z zebrania naukowego Zakładu Archeologii PAN-u poświęconego sztucznictwu pomorskiemu (15. III. w Łodzi).

Druga grupa zagadnień poruszonych w „Materiałach”, która może interesować krajowców, to zagadnienia dawnego spławu na naszych rzekach, głównie na Wiśle. W nrze 2 Z. Brocki, opierając się na wydanej w roku 1859 w Gdańsku broszurze pt. *Objaśnienia dotyczące się handlu zbożowego z Gdańskiem dla użytku właścicieli ziemi*, omówił organizację i technikę spławu zboża do Gdańska w połowie XIX wieku. W nrze 7 J. Stępień zajął się udziałem Włocławka w spławie zboża Wisłą w XVI—XVII wieku. Tenże autor w nrze 9 podał krótką wiadomość, wyszukaną w Archiwum Diecezjalnym we Włocławku, o transporcie Wisłą elementów kaplicy Najśw. Marii Panny katedry włocławskiej.

Kaplicę tę ufundował w roku 1610 biskup kujawski Tarnowski. Wykonano ją z kamienia ciosanego, pochodzącego z kamieniołomów pińczowskich. Transportem wodnym służywały się też — jak wspomina autor — polskie „kamieniarstwo” miasta nadrzeczne, na przykład Kunów w Opatowskim, nad rzeką Kamienną. Spławiano m. i. grobowce lub kamienne elementy architektoniczne wielkich budowli.

Materiały dotyczące radziwiłowskiego handlu spławnego (spław wicinami Wilią i Niemnem, do Królewca) w początku XVI wieku podał w nrze 12 mgr W. A. Drapella (materiały z działu XX Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie). Tenże autor w I numerze omawianej publikacji wspomina o niewykorzystanych i niszczących materiałach dotyczących spławu do portów Bałtyku i Morza Czarnego. Materiały te pochodzące z dawnych zbiorów Czartoryskich znajdują się obecnie na Wawelu.

W nrze 13 prof. inż. S. Hücker apeluje o zbadanie położenia i urządzeń dawnego portu w Kazimierzu nad Wisłą, w wiekach XVI—XVII jednego z największych portów śródlądowych w Polsce i żywego ośrodka handlowego o znaczeniu międzynarodowym. Nieste-

ty — jak stwierdza autor — ślady tego portu są dziś niemal zupełnie zatarte (jest kilka spichrzów, ul. Senatorska biegnąca nad brzegiem rzeczki Grodziec może była ulicą portową, zachowana baszta może była jednocześnie latarnią nawigacyjną), a akta miejskie zaginęły w czasie I wojny światowej.

Dwie pozycje dotyczą zabytków techniki. W nrze 8 miejski konserwator zabytków w Gdańsku, Z. Kwaśny, opisał odbudowę zabytkowego zespołu twierdzy morskiej w Wisłoujściu. Pierwsza faza prac konserwatorskich, zaczęta jesienią 1955 roku, obejmuje odbudowę wieży, tzw. Starej Latarni (była ona dawniej latarnią morską), której część dolna pochodzi z roku 1482. Druga faza obejmuje odbudowę najbliższego renesansowego wieńca wieży, pochodzącego z roku 1563, faza trzecia — całkowite uporządkowanie zespołu zabytkowej twierdzy.

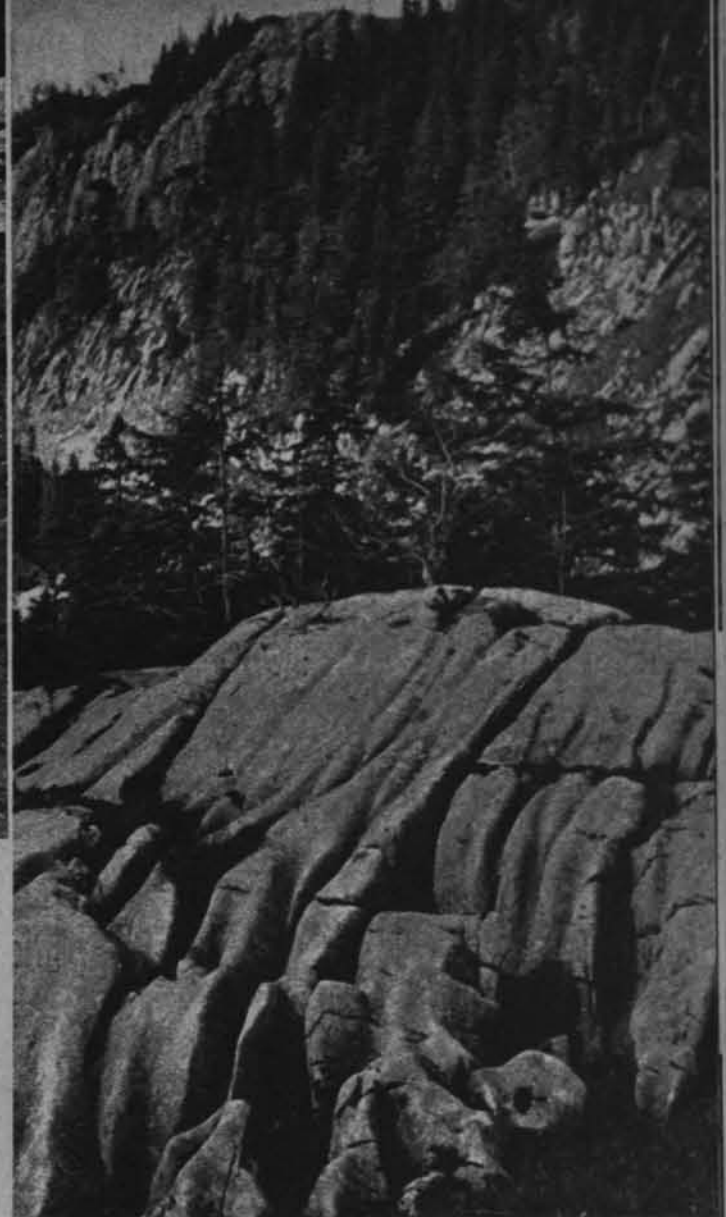
Ogółem wydano 24 numery „Materiałów”. Od lipca 1957 roku przestały one wychodzić m. i. z powodu trudności finansowych. Ich kontynuacją ma być miesięcznik „Biuletyn Nautologiczny”, wydawany przez niedawno powstałe Polskie Towarzystwo Nautologiczne.

RECENZJE

Biuletyn

INSTYTUTU MORSKIEGO





Cichy i pusty zakątek w otoczeniu pionowo skrzęsanych urwisk. Rzadko ktoś tu zaglądał i zagłada. Co to jest? Gdzie? Jak powstało?

Potężny masów grupy Czerwonych Wierchów w Tatrach Zachodnich okala wapiennymi ścianami Dolinę Miętusią, a najwyższe jej piętro — skalny cyrk, połodowcowy kocioł, to właśnie Wielka Świstówka. Tu zbierały się ogromne masy lodu w czasie największego zlodowacenia tatrzańskiego. Masy śniegu i lodu wyrzeźbiły dziwacznie ścianę kotła. Później, gdy lodowce cofnęły się wstecz, powstały w podobny sposób ale znacznie wyżej dwa dalsze kotły, dwie wiszące dolinki. W tym samym czasie, gdy lód znajdował się w wyższych kotłach i tylko jeziorami spływał do Wielkiej Świstówki, otaczające ją przewieszane ściany uległy oberwaniu, zjechały do dolnych partii doliny, tworząc wielkie rumowisko głazów znane dziś pod mianem Wantul.

Obrywisko skalne odsłoniło też bardzo piękny przekrój fałdu obalnego. Widać go doskonale nie tylko z dna kotła Wielkiej Świstówki, lecz nawet spod schroniska na Przysłopie Miętusim.

Najbardziej jednak interesujące są partie litej skały odsłaniające się w dnie lodowcowego kotła Wielkiej Świstówki. Pokrywa je częściowo rzadki las, poprzerywany kosodrzewiną, co w poważnym stopniu wpłynęło na rozwój ciekawych procesów krasu powierzchniowego. Rezultatem tych procesów są tzw. rynny skalne albo inaczej zebra krasowe.

Licznymi spekaniami spływała woda pochodząca z deszczów i topniejących śniegów zaś zawarty w niej dwutlenek węgla począł rozpuszczać skalę wapienną; proces ten zachodził oczywiście najsilniej w tych miejscach, które były najbardziej narażone na działanie wody, tj. właśnie w szczelinach, które z upływem cza-

su zaczęły rozszerzać się i pogłębiać, tworząc rynny. W większości wypadków są one prawie pionowe, ale trafiają się także i ukośne; w miejscach przecięcia się szczelin wytworzyły się też charakterystyczne rozdwojenia rynien, zaś postępujący proces erozyjny doprowadził do powstania pomiędzy rynnami nie tylko żeber, ale nawet iglic skalnych i kotłów.

W bardzo wielu wypadkach mechanizm tworzenia się rynien był nieco inny, choć i tu zasadniczym motorem przemian było rozkładowe działanie dwutlenku węgla. Działo się to jednak nie pod bezpośrednim wpływem opadów atmosferycznych, lecz poprzez koncentrację dwutlenku węgla w glebie, gromadzącej się swobodnie na powierzchniach zwietrzałych bloków wapiennych. Wyrastała tu roślinność, zaś rozkładające się w glebie szczątki roślinne powodowały silną, choć nierównomierną koncentrację dwutlenku węgla, który z kolei — nasycając wodę opadową — rozpuszczał skalne podłoże. Ponieważ zaś zarówno koncentracja gazu, jak i działanie przenikającej przez glebę wody nie były równomierne — powstawały znów rynny.

Proces ten trwa nieustannie także i dziś. Obserwujemy go w Tatrach Bielskich, Wysokich i Zachodnich — jednak z oryginalnością i pięknem rynien Wielkiej Świstówki konkurują mogą tylko rynny Doliny Miętusiej, czy okolic Małej Świstówki, na przedpolu jaskini zwanej Piwnicą Miętusiańska.

Jak bardzo oryginalne i niecodzienne efekty daje widok rynien — udowadniają fotografie. Nieuprzedzony laik nigdy nie uwierzy, że owe dziwaczne fałdy skalne podobne ludzko do zastygłych języków wulkanicznej lawy — powstały w naszych Tatrach w wyniku naturalnych procesów erozyjnych.

ZBIGNIEW
WÓJCIK

WIELKA ŚWISTÓWKA

LIST • LIST • LIST • LIST • LIST • LIST

25 września ub. r. we wsi Sławice, pow. Miechów, woj. krakowski rolnik Mieczysław Nowak orząc pod zasiewy na górze za kościołem, zwanej przez mieszkańców wioski Łysą Górą, odkrył przypadkowo przedhistoryczny grób szkieletowy o wnętrzu wyłożonym różnej barwy głazami (kamieniami). Przebiegły rolnik był przekonany, że znalazł ukryty skarb. W nocy rozkopał grób, wyrzucając ku swemu zdumieniu i przerażeniu zmurszałą czaszkę i kości ludzkie. Dowiedział się o tym Franciszek Kuler, kierownik biblio-

teki, daje znać natychmiast do Krakowa, a grób zabezpiecza. Na drugi dzień przyjechał archeolog, który po pomiarach stwierdził że jest to grób przedhistoryczny, liczący około 4 tysięcy lat i że na takim wzgórzu przypuszczalnie musiał być pochowany jakiś wódz czy kapłan lub inna znakomitość pogańska. Innych przedmiotów w grobie nie znaleziono, a kości i czaszkę zabrano do Krakowa, celem dokładniejszego zbadania.

Stefan Książek
Miechów, Podmiejska Wola 18

DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI



Z końcem ubiegłego roku ludność powiatu proszowickiego (woj. Kraków) złożyła hołd Tadeuszowi Kościuszce w 140 rocznicę śmierci Naczelnika. Wśród ludności owego powiatu żywa jest pamięć o tym wodzu. We wsiach Łyszkowice i Koniusza znajdowała się główna kwatera Kościuszki. Na terenie powiatu stoczono również ractawicką bitwę. Z proszowickiej wsi Rzędowice pochodził Bartosz Głowacki. Toteż w Proszowicach na rynku został odsłonięty pomnik Tadeusza Kościuszki.

Przy Morskim Instytucie Rybackim w Gdyni na Nadbrzeżu Kościuszkowskim zostanie zbudowane Muzeum Morskie i Akwarium.



Między UNESCO a rządem włoskim podpisano umowę o utworzeniu międzynarodowego ośrodka ochrony zabytków. Siedziba tej placówki będzie się mieścić w Rzymie. Ośrodek zgromadzi m. in. dokumentację dotyczącą zagadnień naukowych i technicznych, związanych z konserwacją i restauracją zabytków sztuki.

Nie wszystkim wiadomo, że rozległe hale wypasowe w Tatrach należą od wielu pokoleń do starych rodów góralskich. Tak np. hale znajdujące się u podnóża Giewontu należą do rodziny Budzów i Łukaszczyków, którzy są współwłaścicielami tego najliczniej odwiedzanego przez turystów szczytu. Podobnie jest z innym szczytem tatrzańskim — Świnicą, halami wraz z przyległymi halami należy do Gąsieniców i Galiców.

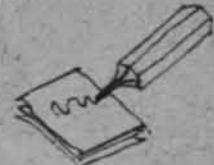


Na jednym z placów w Budapeszcie stanie pomnik Stefana Batorego księcia Siedmiogrodu, a następnie króla Polski. Jest to dzieło jednego z najlepszych rzeźbiarzy węgierskich obecnie już nieżyjącego — J. Pasztora.

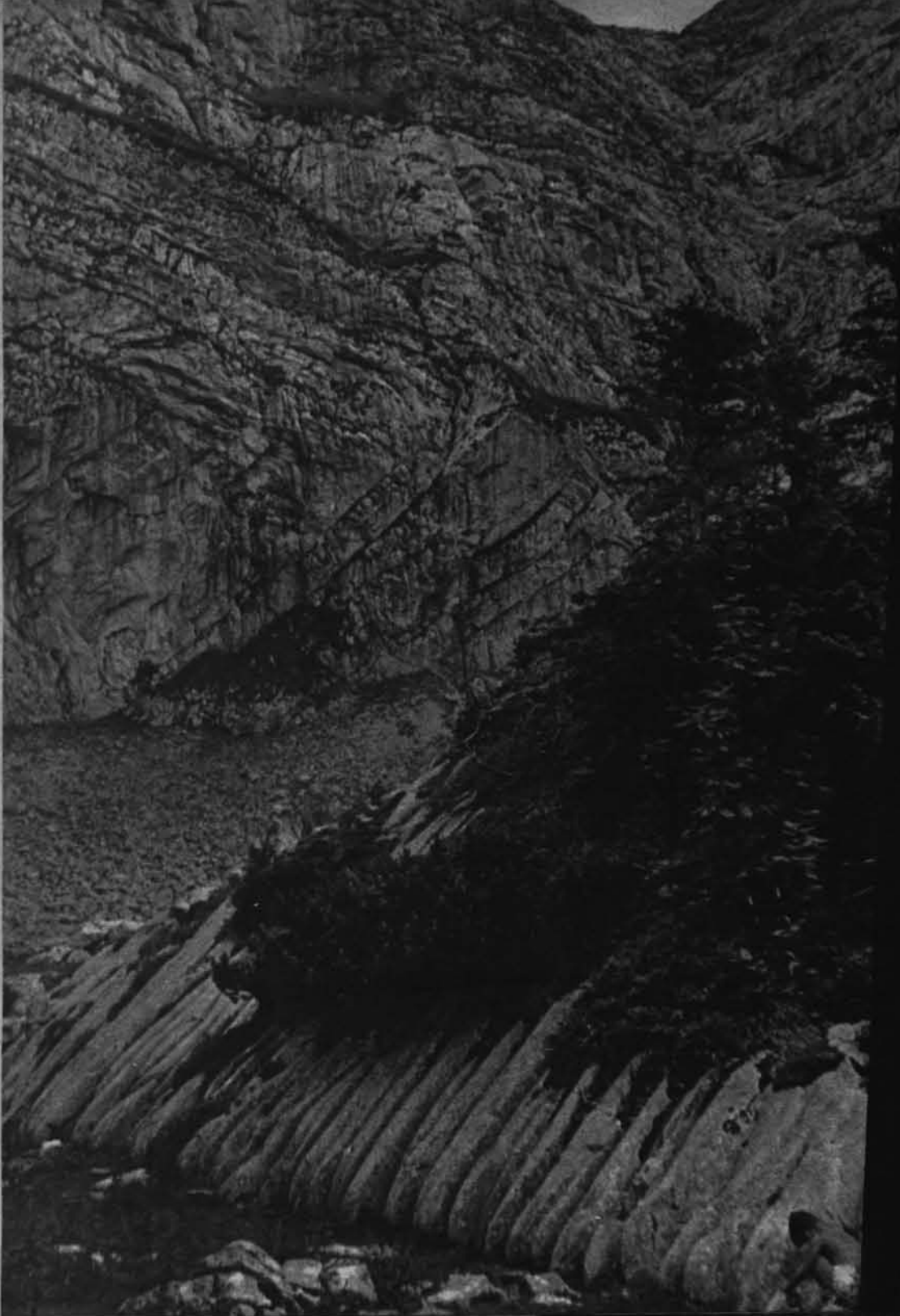


Poeta brazylijski Joachim Thomaz znany ze swej sympatii dla Polski i Polaków przetłumaczył na język portugalski pieśń „Boże coś Polskę” i dedykował ten przekład Polakom osiadłym w Rio de Janeiro.

W porcie Hobart na Tasmanii został oddany na złom statek „Otogo”. 350-tonowy „Otogo” był pierwszym statkiem, na którym dowództwo objął Józef Conrad Korzeniowski po uzyskaniu dyplomu kapitana w r. 1888. Materiały i obserwacje zebrane podczas podróży na „Otogo” wykorzystali Conrad w powieściach „Taffan”, „Lord Jim” i „Szaleństwo Almayera”.



Z końcem ub. roku odbył się w Tatrach powszechny spis tatrzańskiej fauny. Spis inicjowali pracownicy Tatrzańskiego Parku Narodowego wspólnie z kolegami ze słowackiego TANAP-u. Opracowana po zakończeniu spisu statystyka pozwoli obu stronom określić m. in. liczbę kozic w Tatrach Wysokich i Zachodnich. Z danych statystycznych wynika, że największą kozic w Polskich Tatrach żyje w rejonie Morskiego Oka i Pięciu Stawów Polskich.



WIELKA ŚWISTÓWKA

FOT. MARIA KLEIBEROWA
ARTYKUŁ NA STR. 31



POZNAJ SWÓJ KRAJ

POZNAJ SWÓJ KRAJ. Nowy miesięcznik krajoznawczo-turystyczny dla młodzieży. Pierwszy numer ukaze się w styczniu br. Tematyka obejmować będzie różnorodne zagadnienia z zakresu krajoznawstwa i turystyki, zbieranie materiałów naukowych przez młodzież przy pomocy kwestionariuszy i ankiet, szlaki turystyczne, terenoznawstwo, obozownictwo, sprawy sprzętu turystycznego, zagadnienia fotografii i filmu, wspomnienia z wycieczek i obozów, kronikę szkolnego ruchu krajoznawczo-turystycznego, trybunę dyskusyjną z uwzględnieniem głosów młodych czytelników. Autorami prac obok dorosłych będzie również młodzież szkolna. Prenumerata: rocznie zł 24, półrocznie zł 12, kwartalnie zł 6, cena pojedynczego numeru zł 2.